HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I MAJ 1946 NR 5

SUISSE SZWAJCARIA SCHWEIZ



SPIS TREŚCI

Na okładce reprodukcja kwasorytu J. Hoppena „Wilno, Ostra Brama".

Klisze reprodukcyj dzieł grafików polskich zostały wykonane z książki. Fr. Siedlecki, Grafika polska, Warszawa 1927 — oraz do artykułu o J. Falcku ze zbiorów prywatnych K. Górskiego w Genewie.

Ilustrację do noweli Wł. Łuczaka wykonał Janusz Kucharski, Fryburg.

Redakcja: Fribourg, Suisse, Case postale 247, Téléphone 2.18.92. Compte de chèques postaux II a 3219.

HORYZONTY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SPRAWOM KULTURY

ROK I MAJ 1946 NR 5

ADAM MICKIEWICZ

KONSTYTUCJA TRZECIEGO MAJA

Sprawa Polski wywołaną będzie na nowo przed sąd świata nie inaczej, tylko głosem jakiejś powszechnej politycznej burzy. Wtenczas, we wstrząśnieniu wielkiem, wnijdą i rozwiną się nowe potrzeby; ludzie z genjuszem politycznym, z genjuszem działania, potrafią te potrzeby wyrozumieć i zaspokoić, wynajdując środki nowe, teraz albo niewidzialne, albo ogłoszone za niepodobne. Tych potrzeb i środków daremnie byłoby szukać w teorjach dotychczasowych, w konstytucjach i prawach pisanych, bo one są historją przeszłości i mogą służyć za punkt podpory, ale nie za prawidło, ludziom stąpającym w przyszłość. Dlatego wszelkie dyskusje o prawach pisanych, jakkolwiek łatwe, niepożyteczne są Polakom, a szczególniej pielgrzymstwu polskiemu, wyrwanemu z łona narodu, kiedy właśnie warunkiem pierwszym politycznego działania jest: zazierać ciągle w serca i w myśli mas narodowych.

Wszakże mamy jeden akt przeszłości, jedno prawo pisane, które zgłębiać, którego duchem przejmować się należy. Bo to prawo nie wypadło z głowy pojedyńczego mędrka, z ust kilku rozprawiaczy, ale wyjęte było z serca wielkiej masy; nie czerni się tylko na papierze, ale żyje dotąd w pamięci, w życzeniach pokoleń; — jest więc prawem żywem, zakorzenionem w przeszłości, mającem się rozwinąć w przyszłość. Mamy konstytucją 3-go maja...

PIELGRZYM POLSKI z dnia 8 maja 1833 r.

Dr Alfons Bronarski (Szwajcaria)

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

Jego znaczenie w Polsce i za granicą

(Z okazji 200-lecia urodzin)

Wśród wielkich ludzi rozróżniamy wielkości lokalne, których sława nie wychodzi poza granice własnego kraju, i takie, które cieszą się sławą europejską, a nawet światową. Dotyczy to przede wszystkim przedstawicieli świata intelektualnego, poetów, artystów, uczonych. Nasuwa się jednak pytanie, czy tzw. bohaterzy narodowi mogą być również wielkościami międzynarodowymi, czy nie ma w tym *contradictio in adiecto*. Otóż tak nie jest. Wynika to stąd, że historia każdego narodu sama jest częścią historii powszechnej, bohaterzy zaś narodowi są wykładnikami historii własnego kraju. Poza tym każdy bohater, który dokonał czynów daleko ponad przeciętną miarę wybiegających, przynosi zaszczyt całej ludzkości i spotkać się musi z objawami uznania i czci z jej strony. Od najdawniejszych też czasów sława bohaterów narodowych w najszczytniejszym tego słowa znaczeniu przekraczała granice ich ojczyzny, czyniąc ich przedmiotem kultu powszechnego. Leonidas, Brutus, Winkelried są tego przykładem.

Do typu takich bohaterów należy także Tadeusz Kościuszko. Zyskał on sobie sławę nie tylko w łonie własnego narodu, ale i na szerokiej arenie międzynarodowej, i z tego podwójnego punktu widzenia omówimy jego znaczenie i działalność. Wiemy, że sąd naukowy o tej ostatniej przechodził przez różne fazy i ulegał przewartościowaniu. Między poglądami Tadeusza Korzona wyrażonymi w jego monumentalnym życiorysie T. Kościuszki, a późniejszymi, rzucającymi nowe światło badaniami prof. Adama Skałkowskiego, niewątpliwa istnieje rozbieżność. Można rozwijać rozmaite zapatrywania i formułować odmienne opinie co do talentów Naczelnika jako wodza, stratega, polityka i t. p., można prostować powstałe, jak często dokoła tego rodzaju postaci, legendy. Nie zmieni to jednak skrystalizowanego od 150 lat zasadniczego sądu, wydanego naprzód przez współczesnych, sankcjonowanego z kolei przez wszystkie następne generacje aż do dnia dzisiejszego, sądu wnikającego w istotę dziejowego czynu Tadeusza Kościuszki, czynu posiadającego niewątpliwe cechy bohaterstwa. Nie ma bowiem wątpliwości, że jest nim podjęcie walki w sprawie epokowego znaczenia, w imię naruszonej zasady sprawiedliwości, w warunkach możliwie najniekorzystniejszych, t. j. przy bardzo wątpliwych szansach zwycięstwa. Prawdziwym bohaterem może być tylko człowiek obdarzony silną wolą i wielkim charakterem. I pod tym względem sąd historyczny wydany o Kościuszce nie zmienił się do dzisiaj ani na jotę. Pobudki do wykonania bohaterskiego czynu muszą być współmierne z wielkością zamierzonego celu. Takimi pobudkami były u Kościuszki ideały najszczytniej pojętej miłości ojczyzny, oraz wolności, opartej na podstawie demokratycznej. W ten sposób znajdujemy najważniejsze elementy, wchodzące w pojęcie bohaterstwa, skupione w postaci Tadeusza Kościuszki.

Mówiliśmy już do jakiego stopnia pojęcie bohatera narodowego wybiega poza ramy ściśle określonego kraju. U Kościuszki obydwa te aspekty, narodowy i międzynarodowy, zespalają się już z tego względu, że droga do bohaterstwa wiodła go przez obcy kontynent, mianowicie przez Amerykę. Tam, na drugiej półkuli, po raz pierwszy stwierdził Kościuszko czynnie swoje zdolności, swój zapał i ducha poświęcenia dla sprawy na pozór obcej, a jednak mu drogiej, bo dotyczącej ideałów, o których wspomnieliśmy, a które ukochał



Medalion Davida d'Angers z grobowca Kościuszki w Zuchwill pod Solurą

od dzieciństwa. Wiemy bowiem, że już jako uczeń w Szkole wojskowej podziwiał najbardziej ze wszystkich bohaterów starożytnych Tymoleona „za to, że obalał tyranów i zakładał republiki, a nigdy sam sobie władzy nie przywłaszczył". Teraz w Ameryce mógł działać w duchu swoich przekonań, co więcej pogłębiać je. Więc już w tym czasie republikanin Jefferson, przyjaciel Kościuszki, i późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych, pisał do generała Gates, jednego z wodzów amerykańskiego powstania, że Kościuszko jest „najczystszy ze znanych mu synów wolności, i to tej wolności, która ogarnia wszystkich, nie tylko garstkę wybraną lub samych zamożnych". Wiemy również, że w umiłowaniu ideałów demokratycznych Kościuszko przejdzie później nawet swoich amerykańskich przyjaciół, zapisując swój majątek w Ameryce na wykup dzieci murzyńskich z niewoli i ich wychowanie, aby mogły stać się kiedyś „obrońcami swej wolności i swej ojczyzny".

Tymi ideałami przejęty dokonał Kościuszko wielkich rzeczy na terenie amerykańskim, zwłaszcza w dziedzinie prac inżynierskich w West-Point i w Saratodze, „tych Termopilach walki o Niepodległość", oraz przy oblężeniu miasta Charleston, do którego po zdobyciu wszedł pierwszy jako zwycięzca. W tym okresie też objawiają się dwie wybitne cechy jego charakteru: skromność i dobroć serca. O pierwszej mamy świadectwo generała Greene, przełożonego Kościuszki: „Bardzo się też wyróżniał bezprzykładną skromnością i zupełną nieświadomością tego, że dokonał czegoś niezwykłego. Nigdy nie objawiał żądań albo pretensyj dla siebie samego i nigdy nie pominął sposobności odznaczenia i zalecenia cudzych zasług"[1]).

O dobroci zaś jego świadczą fakty, że gdy Amerykanie raz napadłszy na patrol śpiących Anglików mordowali wszystkich bez litości, Kościuszko sprzeciwił się temu, i uratował życie 40 szeregowcom i oficerowi, innym razem zaś ze swego żołdu zasilał zgłodniałych jeńców angielskich[2]).

Ukoronowaniem działalności Kościuszki w Ameryce był jego awans do stopnia generała brygady, przyjęcie go do świeżo założonego Towarzystwa Cyncynata pod prezydenturą Washingtona, w końcu wzniesiony mu kosztem młodzieży amerykańskiej pierwszy pomnik w West Point.

Po powrocie z Ameryki do kraju w r. 1785 wiódł naprzód Kościuszko życie pracującego na roli ziemianina, aby znów czynnie wystąpić w walkach przeciw Rosji i odnieść pierwszy sukces w bitwie pod Dubienką (1792). „Sukces", charakterystyczny dla całej działalności Kościuszki. W istocie bitwa była przegraną, a jednak zwycięską, w tym znaczeniu, że okupioną możliwie największymi ofiarami przez właściwego zwycięzcę.

Kiedy wybiła godzina wystąpienia Kościuszki jako naczelnika powstania w Polsce, był on już wyniesiony wysoko w opinii swojego kraju i zagranicy. Dowodzi tego mianowanie go obywatelem honorowym Francji przez Konstytuantę 1789 r., równocześnie z Washingtonem, Pestalozzim i Klopstockiem. A jednak dopiero teraz wstąpił on na wyżyny bohaterstwa w pełnym słowa tego znaczeniu. Polegało zaś ono nie tylko na porwaniu całego narodu w chwili najtragiczniejszej jego dziejów do walki, lecz na przeprowadzeniu niemniej śmiałej reformy społecznej w myśl demokratycznych przekonań Naczelnika. Uniwersał Połaniecki, wydany 7 maja 1794 r. i wyprzedzający w swej treści prawodawstwa większości państw europejskich jest tego dowodem. Wiadomo, że drugiego przykładu podobnie potężnego porywu ducha patriotycznego w warunkach tak niepomyślnych jak te, w których wybuchło powstanie kościuszkowskie, nie znajdzie może w dziejach wszystkich narodów. Toteż jakiekolwiek zarzuty mogłyby być podniesione z punktu widzenia techniczno-wojskowego przeciwko sposobowi przeprowadzenia operacji wojennych przez Kościuszkę, bledną one wobec samego faktu podjęcia tak nierównej walki w imię najwznioślejszych ideałów. Obok klęsk szczekocińskiej i maciejowickiej pozostają wspomnienia zwycięskich epizodów Racławic i kilkutygodniowej obrony Warszawy, wysokie świadectwo oddające zdolnościom Wodza. Pozostaje przede wszystkim wymowa czynu przechodzącego siły ludzkie i przeradzającego się w osobie Bohatera w wiekopomny symbol. Zachowanie się zaś Kościuszki

[1]) T. Korzon, Kościuszko, życiorys z dokumentów wysnuty, Kraków 1894, str. 164.

[2]) W. Sobieski, Kościuszko i Pułaski w Ameryce (Zjednoczenie ideałów Polski i Ameryki). Polska w kulturze powszechnej, Kraków 1918, cz. I, str. 98.

w niewoli rosyjskiej po klęsce maciejowickiej rzuca znowu światło tak jasne na jego charakter, że do aureoli bohaterstwa przyłącza się jak gdyby gloria świętości.

Potwierdzeniem tego wszystkiego jest hołd zagranicy, jedyny w swoim rodzaju, złożony Naczelnikowi, kiedy uwolniony z niewoli rosyjskiej, złamany fizycznie przez odniesione rany pod Maciejowicami, a moralnie przez upadek podjętego wielkiego dzieła, podążał do Ameryki, przejeżdżając przez szereg krajów europejskich. Na epizod ten w życiu Kościuszki zwraca się za mało uwagi, a jednak jest on pierwszorzędnego znaczenia, bo stanowi niejako sankcję opinii publicznej międzynarodowej jego twórczej działalności, mimo końcowego niepowodzenia, innymi słowy oznacza triumf moralny mimo klęski materialnej, a więc zwycięstwo.

W Abo, w Finlandii, gdzie naprzód zatrzymał się Kościuszko, miejscowa gazeta wyraża mu hołd w tonie najgorętszego uwielbienia. „Miasto nasze dumne jest, że chociaż chwilowo będzie gościć jednego z największych mężów wieku naszego". A witający go w imieniu ludności jeden z profesorów uniwersytetu nie waha się porównać Kościuszki z Leonidasem, Cyncynatem, Cymonem, Arystydesem i Achilesem. W Sztokholmie ministrowie krajowi i zagraniczni, „różne ekscelencje i matedory" cisną się do hotelu, w którym zamieszkał Kościuszko, pragnąc mu hołd złożyć. Król szwedzki wyraża życzenie spotkania się z Kościuszką. Znamienne zwłaszcza było triumfalne przyjęcie zgotowane Kościuszce w Anglii, która jemu jako wybitnemu uczestnikowi w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych nie miała zgoła racji okazywać sympatii. A jednak wiemy, że w Londynie mnóstwo osób tłoczyło się do hotelu, w którym zatrzymał się Kościuszko, że najznakomitsze osoby go odwiedzały, że obdarzony został wspaniałymi podarunkami, tak np. miasto Bristol ofiarowało mu srebrny serwis. Gdy zaś nadszedł dzień odjazdu i Kościuszko wsiadł na statek, który miał go przewieźć przez rzekę Avon do stojącego w porcie okrętu, otaczali go oficerowie angielscy w galowych mundurach, a od will nadbrzeżnych przypływały łodzie z kwiatami i owocami. Skoro stanąwszy na ziemi amerykańskiej w Filadelfii, Kościuszko wsiadł do karety, wyprzężono konie i zaciągnięto powóz przed dom. „Podobny honor żadnemu jeszcze dotąd prezydentowi czyniony nie był"[1]). W tych wszystkich zresztą objawach sympatii niewątpliwie dopatrzyć się można ciekawych pod względem psychologicznym reakcyj sumienia zbiorowego w poszczególnych społeczeństwach przeciw dokonanej zbrodni na narodzie, którego Kościuszko był uosobieniem.

Hołd, o jakim marzyli najwięksi bohaterowie ludzkości, począwszy od starożytnych — uwiecznienia ich imion w nieśmiertelnych utworach sztuki, spotkał Kościuszkę w szerokim zakresie. Istnieje osobna praca F. R. Arnolda, profesora uniwersytetu wiedeńskiego, o Kościuszce w literaturze niemieckiej. Jak stwierdza ten uczony, trzy postaci, Byron, Kościuszko i Napoleon, odzwierciedliły się szczególnie w twórczości poetów niemieckich w pierwszej połowie XIX wieku. Istotnie polskiego bohatera opiewali poeci tacy, jak Lenau, Platen, Heine, Holtei, ten ostatni jako autor dramatu „Der alte Feldherr", wystawionego po raz pierwszy w Berlinie 1825 r., a następnie w innych miastach niemieckich[2]). Nawet Ryszard Wagner zainteresował się postacią

[1]) Korzon, op. cit., str. 481 i nast.

[2]) R. F. Arnold, Tadeusz Kościuszko in der deutschen Literatur, Berlin 1898, str. 21 i następne.

Kościuszki, zetknąwszy się w Lipsku z polskimi emigrantami w 1832 r., i miał zamiar napisania opery, której bohaterem miał być Kościuszko. Opery tej nie stworzył. Zachowała się natomiast uwertura „Polonia“, powstała w tym czasie i do dziś jeszcze wykonywana.

W Anglii Kościuszko niemniej silnie oddziałał na wyobraźnię poetów tamtejszych. Ciekawe uwagi na ten temat znajdujemy w artykule P. Grzegorczyka „Kościuszko w poezji angielskiej“, drukowanym w »Tygodniku Warszawskim«, nr 8 z 24. 2. 1946. Już w grudniu 1794 roku zamieszcza jedna z gazet londyńskich sonet S. T. Coleridge'a p. t. „Kościuszko“, który rozpoczyna długą serię poetyckich hołdów, złożonych polskiemu bohaterowi. W 1797 r. ukazuje się wydana osobno „Ode to General Kosciusko“ pióra cenionego poety Henryka F. Cary, sławnego później tłumacza Boskiej Komedii Dantego. W swoim słynnym poemacie The Pleasures of Hope (Rozkosze Nadziei, 1799) przedstawia Tomasz Campbell Kościuszkę porywającego za sobą naród do obrony Warszawy. Strofy poematu, opiewające obronę Warszawy i rzeź Pragi przełożyli na polski Bruno Kiciński (Zbiór poezji, 1831), Stan. Koźmian i Kasprowicz. W czasie ostatniej wojny transponował Campbella Stanisław Baliński. Piękna jego transpozycja dotarła w 1943 r. z Londynu do Warszawy i była przedrukowana w prasie podziemnej. Campbell jest także autorem „Wierszy o Polsce“ (1831) oraz twórcą Towarzystwa Przyjaciół Polski.

Przypomina dalej Grzegorczyk czterotomową powieść Miss Jane Porter p. t. „Tadeusz z Warszawy“, wydaną w Londynie w 1803 roku. Sentymentalny ten romans, na którego treść składają się przygody bohatera, biorącego udział w powstaniu kościuszkowskim, wydany był 11 razy w ciągu 12 lat.

Byron składa również hołd polskiemu bohaterowi, np. w 10 pieśni „Don Juana“:

... Smutno, że śniegiem się ziębi
Sława... lecz, kto zmarzł, może być ogrzany
W Polsce; tam imię Kościuszki dziś tryska
Płomieniem przez śnieg, jak z Hekli ogniska...

Najpiękniejszym jednak wyrazem hołdu w poezji anglo-saskiej jest napisany w roku śmierci Kościuszki sonet Johna Keats'a, jednego z największych poetów angielskich. Sonet ten, w którym poeta zestawia naszego bohatera z bohaterem angielskim Alfredem Wielkim, tłumaczył na polski: Antoni Lange, Julian Eysmont, Wanda Melzer i Jan Kasprowicz. Przytaczamy tłumaczenie Kasprowicza, bodaj najlepsze z istniejących:

Do Kościuszki

Dobry Kościuszko! Wielkie twe nazwisko
Jest jak dojrzałe górnych uczuć żniwa;
Przychodzi na nas, jak nadziemskie dziwa,
Tonów sferycznych wieczyste ognisko.

Dzisiaj mi ono mówi, że siedlisko
W nieznanym świecie mając, k'nam się zrywa
Imię herosów i harmonia żywa,
Dźwięczy w obłokach, srebrnych tronów blisko.

Mówi mi nadto, że szczęsnej godziny,
Gdy jakiś dobry duch na ziemię spadnie,
Imię twe razem z imieniem Alfreda

I innych wojów, stworzy narodziny
Głośnego hymnu, co się stłumić nie da,
Brzmiąc, gdzie wszechmocny Bóg, na wieki władnie.

We Francji najpiękniejszy pomnik wystawił Kościuszce Jules Michelet, przyjaciel i kolega Mickiewicza z Collège de France, w swej książce *La Pologne martyre*, której pierwsza część poświęcona jest Kościuszce. C. Delavigne napisał poemat *Dies irae de Kościuszko.* Nawet w Norwegii znalazł się poeta, H. Wergeland, który Kościuszkę opiewał w kilku poematach[1]). W Holandii zaś powstał epos o Kościuszce, anonimowego autora[2]). Po tym przeglądzie zagranicznych utworów poświęconych Kościuszce zadziwić nas musi fakt, że wielki Polak znalazł w naszej literaturze raczej drugorzędnych piewców, a działalność jego stosunkowo słabe echa[3]).

Zakończeniem światowej kariery Kościuszki jako generała i męża stanu jest epizod szwajcarski. Naczelnik przybył do Solury w październiku 1815 r. wprost z Wiednia, gdzie bronił interesów polskich na kongresie pokojowym. Przybył otoczony aureolą sławy zdobytej na dwóch półkulach, nawiązawszy we Francji, gdzie przebywał od czerwca 1798 r., przyjazne stosunki z Piotrem Zeltnerem, Solurzaninem, posłem szwajcarskim przy rządzie francuskim. Przybycie tak znakomitego gościa wywołało sensację w stolicy solurskiego kantonu. Rząd tamtejszy wysłał natychmiast delegację, a mieszczanie oddział strzelców na jego przywitanie. Kościuszko zamieszkał w domu swych przyjaciół Zeltnerów i odtąd, odsunąwszy się od spraw publicznych, przeżył ostatnie dwa lata życia w zaciszu domowym. I tutaj jeszcze dodał nowe laury do swojej chwały, zdobywając sobie serca nie tylko współczesnych, lecz i następnych pokoleń, bo pamięć jego otoczona czcią najwyższą, żyje do dzisiejszego dnia wśród Solurzan, a kult dla niego wszczepia się tam młodzieży już na ławie szkolnej. W tym okresie końcowym życia Kościuszki zalety charakteru Naczelnika wystąpiły na tle sielanki szwajcarskiej ze szczególną wyrazistością. Wielka dobroć, czynna miłość bliźniego, wszystko to znalazło swój wyraz w szeregu dokumentów zachowanych z tego czasu, a jednym z najważniejszych między nimi jest akt uwłaszczenia włościan siechnowickich w majątku rodzinnym Kościuszki. Ponadto wiele faktów znamiennych zanotował K. K. Falkenstein, Solurzanin, który poznał Kościuszkę, autor pierwszej większej jego biografii (1827). Inne świadectwa przechowała tradycja żyjąca do dzisiaj. Do aureoli, zdobytej na polach walki w Ameryce i Polsce, przybywała chwała wynikająca z przesłanek etycznej natury. I znowuż kiedy w październiku 1817 roku nadeszła chwila złożenia pośmiertnego hołdu wielkiemu Naczelnikowi, wypadł on niemniej wspaniale jak te, które składane mu były za życia. W otwartej trumnie, mówi biograf Kościuszki, przeniesiono zabalsamowane ciało Bohatera z mieszkania do kościoła, tak aby cała ludność mogła mu się jeszcze raz przypatrzyć. A gdy po tym prowizorycznym pogrzebie nadeszła chwila przewiezienia zwłok na Wawel, złożono je na specjalnie skonstruowa-

[1]) S. Sawicki, Norwegia i polska walka o wolność. Gazeta Polska z 24 czerwca 1937.
[2]) Arnold, op. cit., str. 42.
[3]) Por. W. Hahn, Kościuszko w polskiej poezji dramatycznej. Poznań 1918.

Dr Alfred Loepfe (Szwajcaria)

Niemiecka gramatyka i niemiecki człowiek

Zarys semantyczny
(Tłumaczył z niemieckiego E. Lukas)
Dokończenie

VI. Amor fati

Jak każda psychologiczna skłonność — domaga się reakcji również i egotyzm. Reakcja ta zdołała tak silnie wystąpić w formie naukowego obiektywizmu i pozytywizmu, że wielu uważa te uzewnętrznienia się niemieckiego ducha za zasadnicze. Po ujawnieniach, jakich dostarczyły nam język niemiecki i filozofia, nie możemy ulec takiemu złudzeniu. Sławna niemiecka specjalizacja, solidność w pracy, zasadzają się przecież na oddaniu się przedmiotowi, które może być uważane za równające się przejawowi **ja**. Odpowiednik właśnie tego obserwujemy w dziedzinie rzeczywistości socjologicznej: słabsze indywiduum może poddawać się osobnikowi o silniejszej woli tak bez reszty, że już Herder poważył się był mówić o »niemieckim łaszeniu się«. Wydaje się wprawdzie, że wiara w autorytet, dyscyplina i ślepe posłuszeństwo, sprzeczne są z istotą egotyzmu. Nie jest on jednak jednoznaczny z indywidualizmem, który jest czymś biegunowo przeciwnym do kolektywizmu — a co zatem idzie — negatywnie ustosunkowany do tendencji państwowej wspólnoty. Stąd łatwo jest **ja**, obdarzonemu silną wolą, naelektryzować jakby tych niepewnych, neutralnych monadów i przyciągnąć ku sobie. Jak wiadomo — udało się to już niejednemu. Niemiec może więc popaść w kolektywizm, skoro tylko przypuszcza, że zażywa wymarzonej wspólnoty. Herder uważał także za łaszenie się owo hołdowanie cudzoziemczyźnie, a więc przejaw poddawania się większej wspólnocie obcych ludów. »Duch podnajemcy, który przeżywa to, co stopa innego podeptała«, »kraj posłuszeństwa« — oto dalsze określenia Herdera. Że wszystko to nie jest czymś zasadniczym, a tylko reakcją — potwierdza nam sam Herder w następujących słowach: »Musimy prosić o wiele dla naszego narodu; jedną z najbardziej pilnych próśb jest, aby niebo zachowało go przed próżną dumą, a dalej przed upodleniem (ponieważ obie te przywary są nierozłączne). Gdyby zaś ta plama przywarła do nas — o zmycie jej najbardziej nawet ostrym ługiem«.

---

nym wozie, oddział kawalerii szwajcarskiej eskortował je do granicy, oficjalni zaś delegaci towarzyszyli im aż do Polski.

Z uwag wyrażonych powyżej wynika, że naród polski posiada w Kościuszce, drugiego po Sobieskim, bohatera na miarę europejską, a nawet światową, że wyrasta on na symbol najszczytniejszych ideałów nie tylko swego narodu, ale ludzkości. Zasługą Kościuszki, którą zwłaszcza dzisiaj podkreślić należy, jest również fakt, że pierwszy wniósł w nią ducha demokracji w nowoczesnym pojęciu, w końcu że zapoczątkował długi szereg bojowników polskich o wolność obcych narodów, apostolstwo, którym pochlubić się może nasz naród.

Te fakty należało przypomnieć z okazji 200 rocznicy urodzin Kościuszki.

W wyrównanej histori i filozofii Herdera mogłaby niemiecka kultura znaleźć nową orientację. Bo bez historii filozofii nie będzie mógł Niemiec kiedykolwiek uporać się z rzeczywistością historii. Czuje on się przecież nie tylko centrum świata, ale także i c e n t r u m c z a s u. Ponieważ jednak to **ja** jest niestałą, zmieniającą się wielkością — wydaje mu się samemu jakby uczepił się chwiejnej belki, pływającej po oceanie czasu. »Niczego, co zostało dane, co dokonało się, co istnieje, nie przyjmuje Niemiec posłusznie. Ulega on czarowi rzeczy stających się dla samego faktu stawania się, dla jego piękności, której oddaje cześć, jeśli nawet on sam w końcu zamienia się w nic: Nietzsche jest wstrząsającym przykładem tego« — formułuje bardzo trafnie H. Bahr. Również i mowa oddaje takie doznania czasu. Niemieckie *futurum* tworzy się za pomocą słowa posiłkowego »*werden*«, które wyparło dawniej używane słowa posiłkowe »*sollen*« i »*haben*«. Zachowały one — jak wiadomo — swoją przewagę w angielskim języku i świadczą o rzeczowo woluntatywnym i poglądowym doznawaniu upływu czasu w tej mowie.

Jeśli czas przyszły odczuwany jest jako coś, co ma być i co ma się dopiero rozwinąć — to analogicznie czas przeszły oddaje to, co przechodzi i zamiera. »Każdy Niemiec uważa się za pierwszego człowieka, razem z nim zaczyna się świat od początku. Jesteśmy narodem stawania się, a nawet uzasadniamy naszą dumę tym, że zdajemy się sami sobie być więźniami nieustannego stawania się« — dozwólmy jeszcze raz powiedzieć Bahrowi.

Powyższe naświetla jeszcze dobitniej rozszerzenie się *coniunctivus obliquus* na pierwszą osobę, skoro tylko wyrażenie woli, albo jakiegoś poglądu odnosi się do przeszłości: »*Ich behaupte, er ist krank*« w czasie jednak przeszłym: »*Ich behauptete, er* **sei** *krank*«. Albo: »*Ich hoffe, dass er kommt*«, natomiast: »*ich hoffte, dass er komme*«. Niemiec nie poczuwa się do odpowiedzialności za przeszłość. Widzi on w niej coś obcego. Jak Goethe mówi — staje się on »sam dla siebie historycznym«.

A teraz reakcja: Jest nią nic innego jak historycyzm niemieckiej historiografii, w ogóle relatywizm historycznej wiedzy. Niemiecka filologia (wszystkich języków indoeuropejskich) doszła do swego znaczenia właśnie pod znakiem historycznej gramatyki. W filozofii mowy prym dzierżą Anglicy, w estetyce mowy Francuzi, natomiast w historii mowy Niemcy.

Opisane reakcje są z punktu widzenia psychologii nadmiernymi rekompensatami, które przeważnie występują nieświadomie. Dopiero świadoma reakcja byłaby równoznaczna z uzdrowieniem. I wystąpiła ona faktycznie, ale w zupełnie nieoczekiwanej formie, za pomocą której jedynie możemy wytłumaczyć silny przerost urazy w stosunku do świata i rzeczywistości. Podobnie jak Gwizowie ze świadomym wyzwaniem wypisywali na swoich sztandarach przezwisko »żebracy«, jak marksizm — miast na drodze ewolucji przezwyciężać znienawidzony w głębi serca byt proletariacki — wyniósł był właśnie rodzaj i stan proletariacki do godności kryterium nowego socjalistycznego człowieka, podobnie umocniło się uświadamianie sobie niemieckiej odrębności w wyznaniu, które najlepiej charakteryzują takie powiedzenia, jak: »*Erst recht!*«, »*Dennoch!*« i »*Trotzdem!*«.

Niemiec rozmiłował się w swoim losie i spotęgował skłonność do podciągania wszystkiego pod **ja** aż do zdeklarowanego nihilizmu w stosunku do rzeczywistości. W ten sposób on, któremu właśnie filozofowie odmówili prawa

dążenia ku szczęściu, dojrzał do fanatyzmu. Wobec **nie-ja** występuje z wolą władzy. Obcemu **ja** bliźnich i narodów przeciwstawia wiarę w swoje nadczłowieczeństwo. U Fichtego bazuje jeszcze mesjanizm na romantycznej konstrukcji normalnego narodu, którego potomkami są Niemcy. Nietzsche wyposaża go w darwinistyczne rysy płowej bestii. Mesjanizm narodowego socjalizmu operuje nie dającymi się obejść dowodami naukowymi z dziedziny biologii. ECCE INGENIUM TEUTONICUM — słowa końcowe Kolbenheyera w powieści o Paracelsjusie — mogą służyć jako motto uabsolutniania się niemieckiego narodu. »Miara i środek świata, twórczy człowiek, boski człowiek« (Hitler u Rauschninga) — oto ostateczna forma nietzscheańskiego nadczłowieka.

Wymieniając dwie decydujące w tym wypadku gałęzie wiedzy, darwinistyczną zoologię i modną biologię, zaznaczyliśmy już — dlaczego ten niewinny sam przez się, filisterski, ba nawet przy sprzyjających okolicznościach w najwyższym stopniu twórczy i żyzny egotyzm niemieckiej duszy mógł uróść do rozmiarów tego ostatniego (miejmy nadzieję!) niesamowitego i niszczącego wyrazu. Dzisiaj nie możemy jeszcze w pełni rozumieć narodowego socjalizmu z punktu widzenia historii kultury, ponieważ zbyt blisko stoimy tego zjawiska. Nie można jednak już teraz przeczyć, że jest on istotnym, aczkolwiek chorobliwym wyrazem niemczyzny. Chyba że historia kultury straci rację swego istnienia. Może jednak raczej przyjmiemy trafne sformułowanie angielskiego dziennika, że mianowicie narodowy socjalizm »panuje przemożnie nad niemiecką duszą«. Niektóre silne indywidua umknęły jego władzy, słabsze uległy mu. Cóż za ironia, że ci właśnie ulegający uważali się za silnych, za bohaterów! W grubszym jednak zarysie można już dzisiaj wytłumaczyć wylęgnięcie się narodowego socjalizmu. Najpierw francuskie Oświecenie skierowało niemiecki egotyzm na nowe tory możliwości rozumowych, skąd wyszły następnie idealistyczne teorie poznania. Kiedy zaś potem gospodarczy i techniczny rozwój 19 wieku przeniósł był polityczny ciężar właściwy w dziedzinę gospodarki — była ta pełna oddania pracowitość niemiecka jakby stworzona na to, aby wysunąć się na czoło ducha czasu. Rozpoczęła się »epoka ruchliwości« (*Epoche des Betriebs, H. Bahr*). Marzenia Reichu uzyskały podstawę do urzeczywistnienia się. Rozrastająca się jednak industrializacja i związany z nią urbanizm stworzył owe masy, które mogły służyć jako narzędzie dla silnych indywiduów. Przestrzeń uległa poszerzeniu przez komunikację, co umożliwiło promieniowanie indywidualnego egotyzmu na całą nację jako **wielkiego ja.** Patriotyzm, miłujący ojczyznę, zamienił się w egotystyczny nacjonalizm. Masy te musiały tylko dojrzeć do znaczenia politycznego przez rozpętanie się niezrozumianej demokracji (Konstytucja Weimarska). Materialistyczna wiedza musiała tylko temu **wielkiemu ja** nadać konkretną postać (rasizm) i zerwać ostatnią łączność, tę z Bogiem. A potem już upiorowi »elity« nadludzi nic nie stało na przeszkodzie.

Ten szkic kulturalno-historyczny 19 i 20 wieku odnosi się niewątpliwie do całego Zachodu. Lecz było by rzeczą niemożliwą chcieć dopatrywać się tylko czystego przypadku w fakcie powstania narodowo-socjalistycznej ideologii w niemieckim narodzie (polityczne motywy służyły w tym wypadku jedynie jako spojenie). Szkic ten jednak wykazuje także, jak inne narody mogą być podatne na te same błędy.

W ostatecznej swojej konsekwencji doprowadził ów pełen sprzeczności **amor fati** do samonienawiści, do zatraty własnego **ja.** Ubóstwianie **ja** zwraca się przeciw samemu **ja,** upadek solipsystycznego makrokosmosu pociąga za sobą zmierzch ekstatycznego egotyzmu.

VII. Ojczysta mowa

Uwagi powyższe opierały się głównie na zjawiskach gramatycznych, częściowo leksykalnych, które większości europejskich języków są obce. Podstawą ich zatem było porównanie języków. I tak okazuje się, że już szwajcarski dialekt nie wykazuje wszystkich omówionych właściwości. Szwajcar nie odróżnia »*hin*« i »*her*«, zniósł »*imperfectum*«, przełamuje zasadę końcowej pozycji czasownika w zdaniu pobocznym, a nawet jednolitości zamkniętej grupy słów niemal w co drugim zdaniu. Kto chce, może ten odrębny rozwój przypisywać klimatowi, górom, a może nawet mleku i serowi. My natomiast wierzymy, że duch ludzki jest zasadniczo odpowiedzialny za rozwój mowy.

Wierzymy również, że duch ludzki jest jednolity i wszędzie podobny — tak, że różnice w myśleniu, znajdujące swój wyraz w językach, nie oznaczają jakiegoś skazania na względne tylko możliwości poznania i nie są przyczyną przepaści między narodami, których nie mogłyby połączyć żadne mosty. Kiedy jeszcze romantyczna filologia niemiecka trzymała się była tej idei — to już najświeższa niemiecka filozofia języka, odwróciwszy się od pozytywizmu, także i tutaj weszła na drogę egotyzmu. Tak więc pisze G. Schmidt-Rohr: »Wyrażamy zawsze tylko samych siebie, świat w odniesieniu do nas, n a s z stosunek do zjawisk świata«.

Taki »język macierzysty« może być tylko »językiem macoszym!«

Do wręcz przeciwnego wyniku doszedł był właśnie Goethe: »Język niemiecki jest do tego (tzn. do przekładania obcych dzieł literackich) szczególnie przydatny; łączy się on łatwo z idiomami, zrzeka się wszelakiego egoizmu i nie obawia się zarzutu nadzwyczajności, niedostępności«. Albo: »Kto rozumie niemiecki język i studiuje go, znajduje się na targu, gdzie wszystkie narody ofiarują na sprzedaż swoje towary. Bawi się tam w tłumacza, przez co wzbogaca sam siebie«. Podobny sąd znajdujemy już u Herdera. Goethe zasadzał na tym swoją znaną, ulubioną ideę o literaturze światowej.

Ze wszystkich starych sądów o języku niemieckim — ten jest najskładniejszy. Język rdzeni, w którym każda zmiana sensu jednego rdzenia musi pociągać za sobą zmianę znaczenia tuzinów słów, który zatem nastawiony jest bardziej na subiektywne doznanie znaczenia rdzenia, niż na obiektywną rzecz i jej nazwanie. A to wszystko u narodu, którego język odczuwa upływ czasu jako coś nieustannie stającego się. Taki język musi cechować swoboda i rozciągliwość, sprzyjające tłumaczeniu nań twórczości obcej. Rzeczowy język francuski, myślący pojęciami, ulega np. zbyt łatwo konwencjonalnej przedmiotowości, która stoi na zawadzie przyjmowaniu obcych pojęć i przedstawień, a także nie pozwala na dostosowanie się do własnych.

Inne sądy 18 wieku cechuje jednostronne stylistyczno-retoryczne i metryczne wartościowanie materiału językowego. Tak już sam Goethe nazwał był niemiecki język »bardziej niemelodyjnym i bardziej nie oddającym« (sc. niż grecki), »najgorszym materiałem«. Że podłożem tej oceny był w tym wypadku język francuski — świadczy powiedzenie w »Fauście«: »W niemczyźnie kłamie się, gdy się chce być grzecznym«. Także sąd Herdera zasadza się na tym momencie: język ten jest »ziarnisty«, »nie ma połysku, chociaż nie brak mu

• • •

IDĘ SOBIE DONIKĄD...

Idę sobie donikąd — gdzie oczy poniosą —
bez celu, byle dalej, w lewo, w prawo, prosto
ocieram się o płaszcze nieznanych mi osób
i nic dla mnie nie znaczy, żadna twarz ni postać.

Nurzam się w mroku zaułków, w jasności placów ulic
potrącany przez obcych co mają gdzie śpieszyć
rozełkanej tęsknoty nie mogę utulić —
więc włóczę się po mieście: ból przestrzenią przeżyć...

Mógłbym tak iść daleko przed siebie, w nieznane
w słońca wschody, zachody, odludzia, wsie, miasta
przez nikogo i nigdzie nieoczekiwany
— wciąż mi tylko naprzeciw, wyjdzie pustka własna...

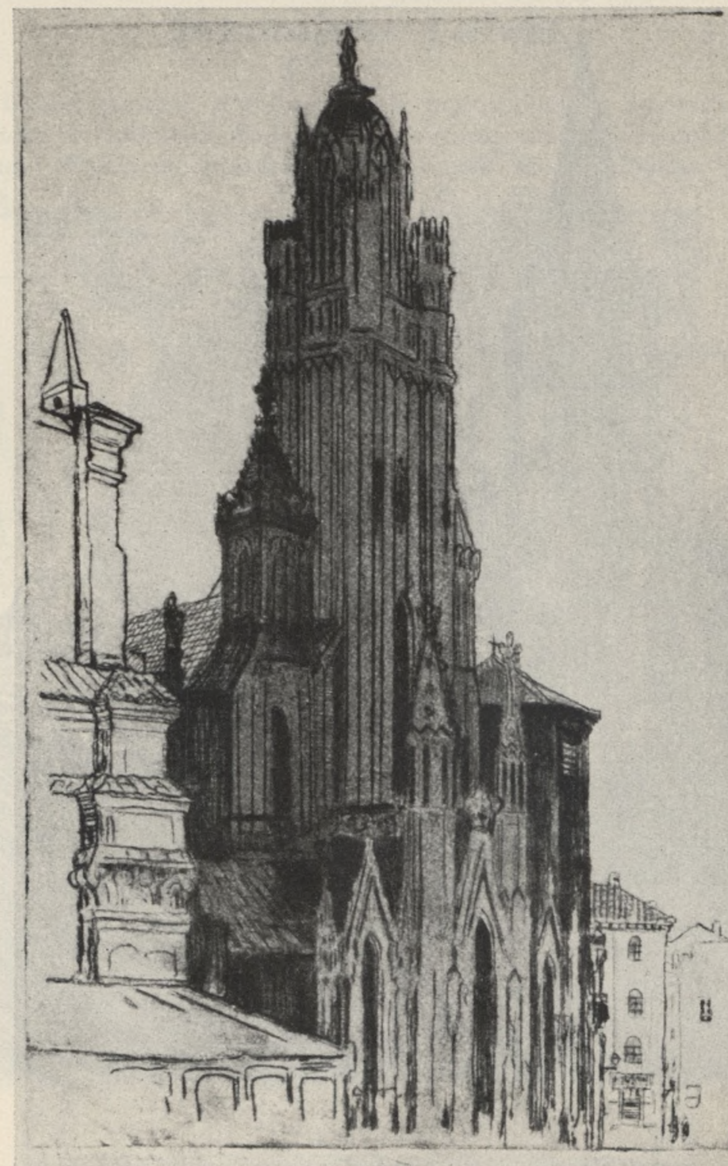
Idę sobie donikąd — gdzie oczy poniosą —
bez celu, byle dalej w prawo, lewo, prosto
— ocieram się o płaszcze nieznanych mi osób
cierpieniem od nich większy i smutny apostoł...

---

wewnętrznej mocy«. W 19 wieku przykładano do wszystkiego miarę zamożności. I dzisiaj szermuje się chętnie tym kryterium, które bez obszernych studiów jest bezprzedmiotowe. Przeciwstawiał mu się Goethe:

Czym jest ubogie, a czym bogate! Co silne i słabe!
Jestże bogatą urna zakopana w ziemię?
Silnym jest miecz, wiszący w arsenale?
A przecież... zaczerpnij tylko z pierwszej,
Szczęście popłynie z ciebie, równy bogom!
Ująwszy w rękę miecz — sięgać możesz po zwycięstwo, władzę,
Po sławę, co cię ponad sąsiady wyniesie.

Takie sądy, z których podkpiwał sobie Goethe, kończą się zawsze pochwałą ojczystej mowy. Utożsamia się bowiem w nich leksykalne bogactwo (bez uprzedniego gruntownego zbadania porównawczego z innymi językami) z bogactwem inteligencji i uczuć, stawia się na jednym poziomie siłę wyprowadzoną z niedających się dociec kryteriów (nikt nie umie podać ich wytłumaczenia), z witalną siłą własnego narodu. My dzisiaj rozumiemy inaczej mowę. Nie tak, jak interpretował jej pojęcie Schmidt-Rohr. Miłujemy ją, ponieważ nauczyła nas myśleć, czuć, mówić i modlić się, przez co wychowała nas. Nie zmusza ona nas jednak do niczego, nic w nas nie gwałci. Jednostka może uchylić się od konsekwencyj subiektywnej formy języka. Dopiero jednak kiedy na całym obszarze językowym powionie nowy duch, który zaniecha stanowiska »centrum świata« — dopiero wtedy będzie musiała niemiecka mowa poddać się nowej orientacji, wynikającej z niedocieczonych socjologicznych praw. Wówczas też mowa ojczysta stanie się przewodniczką, wiodąca ku państwu duchowej wolności.



Feliks Jabłczyński. »Katedra św. Jana«


Zofia Stankiewicz. »Katedra w Chełmnie«

Konstanty Górski (Szwajcaria)

Jeremiasz Falck

Był Gdańszczaninem Jeremiasz Falck, najznamienitszy rytownik siedemnastego wieku w środkowej Europie. Gdańszczaninem z urodzenia i kultury, z głębi duszy Polakiem. Polskość tę swoją cenił wysoko i jakby w obawie,



Achacy Przyłęcki

by brzmienie jego nazwiska nie ujmowało mu jej w oczach cudzoziemców, podpisywał się ostentacyjnie — tam gdzie należało — Falck Polonus.

Urodził się Falck w Gdańsku około 1610 roku. Są tacy, co twierdzą, że dziewięć lat później. Tutaj zaręczył się w roku 1650 z córką kupca Arnim'a, zwanego Merkatorem. Do miasta tego powracał też raz po raz ze swoich artystycznych wędrówek po Europie zachodniej i północnej. Tu też spędził ostatnie lata swego życia. Umarł dnia 7 lutego 1677 r.

Wpatrzony od urodzenia w architekturę rodzinnego miasta, początek biorącą w północnych Niderlandach, jakkolwiek spokrewnioną również ze sztuką miast hanzeatyckich, potrafił Falck wyczuć w niej i pokochać to coś, co nadawało jej mimo wszystko akcent polskości. Gdańsk pełen kutych w kamieniu orłów polskich, wizerunków polskich królów i ich herbów. Ale to nie wszystko. Falck umiał również wyczuć tę nie dającą się określić, a jednak uchwytną, miękkość formy, jakąś uczuciowość postawy wewnętrznej, która sprawia, że



Hieronim Radziejowski

miasto to nosi w sobie charakter swoisty — jak gdyby chciało przezeń jeszcze potwierdzić swój wielowiekowy związek z Polską.

Taką też była właśnie sztuka Falcka. Wywodziła się z holenderskich wzorów, na nich kształcona, ale odrębna w charakterze, w sposobie odczuwania, a niewątpliwie i w formie.

Czy wykształcenie w sztuce rytowniczej rozpoczął Falck pod osobistym kierunkiem Holendra Wilhelma Hondt'a, nadwornego sztycharza króla Władysława IV — ustalić to trudno. W każdym razie pewne jest, że musiał się

stykać z bliska z pracą mistrza i jego gdańską pracownią. Wpływ bowiem Hondt'a na rozwój sztuki Falcka był bezsprzecznie niepośledni.

Przewyższy jednak z biegiem lat polski rytownik sławnego Holendra stylem jak i pięknością wykonania.

W roku 1639 udaje się Falck na dalsze studia do Paryża. Jest uczniem Chauveau, wskazówek udziela mu również Justus II Bloemaert. Tu jego talent zwraca na siebie uwagę. Wzięty bardzo podówczas malarz Justus van Egmont*)



Łukasz Opaliński

powierza mu rytowanie przez siebie robionych portretów króla Francji Ludwika XIII i jego małżonki Anny Austriaczki.

Z Paryża przenosi się Falck do Holandii, by po pewnym czasie powrócić do stolicy Francji, gdzie nadal rytuje alegoryczne figury i portrety.

W roku 1646 powraca do Polski. Osiada w rodzinnym Gdańsku i pozostaje w nim do 1649 r., kiedy to powołany zostaje do Szwecji jako nadworny

*) Portretował on również królową Marię Ludwikę, żonę Władysława IV.

sztycharz królowej Krystyny. Pracuje w Sztokholmie i dojeżdża do Gdańska. Z tego okresu znamy szereg wykonanych przezeń portretów, nie tylko szwedzkich ale i polskich. W roku 1655 udaje się do Kopenhagi zawezwany przez króla duńskiego, który chce go mieć również na swym dworze jako rytownika. W roku następnym jedzie dalej, do Amsterdamu, gdzie powierzone mu zostaje wykonanie sztychów ze sławnej galerii obrazów burmistrza Gerarda de Reynst. Stamtąd przenosi się do Hamburga.

Jest to ostatnia jego zagraniczna wędrówka, ponieważ około 1668 roku wraca Falck do Gdańska, którego nie opuści już do końca swego życia.

Rytował Jeremiasz Falck obrazy religijne, mitologiczne, rodzajowe. Sztukę swą rytowniczą oddał na usługi polskiej kultury. Rytował bramy tryumfalne, sumptem senatu gdańskiego wystawione na wjazd króla Władysława IV i jego małżonki Ludwiki Marii Gonzaga. Rytował karty tytułowe do dzieł pisarzy polskich: Sulikowskiego »Commentarius brevis rerum polonicarum« (1647) oraz Lipskiego »Practicae observationes ex iure civili« (1648), ale przede wszystkim wizerunki króla i ówczesnych polskich dostojników. Podobizny opierał przeważnie na już istniejących dziełach malarskich, ale wlewał w nie życie nowe. Brał wzory z portretów szeregu polskich panów i wojowników pędzla malarza gdańskiego Franciszka Daniela Schultza i Holendra Dankaerta.

W wykonaniu Falcka da się wszędzie zauważyć dbałość o piękno i wykwintność linii. Artysta umiejętnie łudzi oko światłocieniem, wydobywając plastyczność kształtu. Operuje on znamiennym dla niego rodzajem technicznego ujęcia. Gęstą siatką krzyżujących się linii równoległych nadaje rysunkowi rzeźbiarską niemal dokładność formy. Obramowanie portretów proste: owalne, oparte na prostokątnej karcie z napisem. Jakże daleko odbiega w nim Falck od przeciążonych zbędną ornamentacją pierwszych portretów francuskich. Za to całą swą sztukę wkłada w nadanie właściwego wyrazu oczom i rysom twarzy. A robi to znakomicie. Szczególnie zaś, jeśli chodzi o polskie portrety. Snać łatwo mu było wczuć się w duszę modela poprzez kopiowany rysunek — tak jak tylko Polakowi dane być to mogło. Najwyżej pod względem artystystycznym stoi skromny i prosty w ujęciu portret Władysława IV, uwydatniający mocne rysy tego mądrego i energicznego monarchy. W galerii tej spotkamy dalej wizerunki Hieronima Radziejowskiego w stroju cudzoziemskim, we fryzowanej peruce, wyniosłego, ambitnego, oschłego — Jerzego Lubomirskiego o poważnym czole i twarzy od trosk zoranej — Łukasza Opalińskiego; postać pełną temperamentu, bujną, a jednak z jakimś jakby akcentem zwątpienia — Achacego Przyłęckiego, szlachcica krwi gorącej, o mądrym wejrzeniu — biskupa Piotra Gębickiego, Jerzego, Bogusława i Wacława Leszczyńskich, Macieja Łubieńskiego i wielu innych.

W sztuce swej był Falck wyznawcą jakości. Niewielką ilość dzieł po sobie zostawił. Poszukiwane były one już za jego życia przez znawców i światłych zbieraczy. Zbiory polskiego muzeum w Rapperswilu miały ich sporo. Wywieziono je jeszcze przed wojną do Warszawy. W Polsce dwory przechowujące pieczołowicie spuściznę po świetnym rytowniku spłonęły. Jeszcze tylko gdzieniegdzie za granicą natrafić można przypadkiem na sztych tego wybitnego gdańszczanina — i to bardzo rzadko. Zdziesiątkowanie twórczości Falcka — to jeszcze jedna z wielu, tak bardzo wielu strat, poniesionych przez polską kulturę w obecnej dziejowej zawierusze.



Tadeusz Cieślewski. »Miasteczko«



Zygmunt Kamiński. »Warszawa — Nowe Miasto«

Stanisław Szczygielski (Francja)

Bój o światopogląd

(Refleksje nad polską rzeczywistością)

Rezultat wielkich wstrząsów historycznych wyraża się nie tylko w przesunięciach i zmianach w strukturze politycznej, społecznej i ekonomicznej, ale sięga również głęboko w domenę kultury. Kataklizmy dziejowe nie zmieniają wprawdzie samego charakteru narodu, ale za to burząc dotychczasowy świat pojęć człowieka, zmuszają go do sumiennej rewizji poglądów i każą mu na nowo budować stosunek do rzeczywistości, mniej lub więcej zmienionej, oraz do przeszłości. Człowiek, który przeżył „czasy pogardy“, który stanął w obliczu śmierci i gruzów, prostuje swój zgięty w pracy codziennej kręgosłup, ogarnia wzrokiem dalsze i inne horyzonty nie po to, by wrócić do przeszłości, cofnąć się w dawny domek ślimaczy, ale po to, by dojrzawszy i wzbogaciwszy świat swych doświadczeń, sięgnąć po przyszłość i kształtować ją na miarę nowych, zdobytych w krwi i cierpieniu ideałów. Potężne w swej gwałtowności procesy historyczne znaczą swoje głębokie piętno na linii rozwoju kultury, hamują jej bieg lub ją zapładniają, nierzadko zaś wypierają ją ze starego łożyska, by popchnąć w nowym kierunku, i wówczas nadają jej inny styl i inny charakter. Im gwałtowniejsze są przebiegi tych procesów, tym głębsze, dokładniejsze wywołują zmiany, tym kategoryczniej zmuszają człowieka do dokonania wnikliwego rachunku sumienia, dotarcia do źródeł i przyczyn klęski oraz szukania pewnych i niezawodnych dróg odrodzenia.

Krwawe i potworne w swym okrucieństwie lata okupacji uświadomiły dobitnie i jasno społeczeństwu polskiemu konieczność dokonania nowego rozrachunku z przeszłością oraz zrewidowania swego dawnego stosunku do świata i życia. Człowiek dzisiejszy, bogatszy o jakże bolesne doświadczenia, nie chce wracać do dawnych błędów i potknięć przeszłości. Pragnie budować nowe formy życia i nowy świat na zasadach jak najtrwalszych, jak najbardziej niewzruszonych. Na nowo wrócony życiu, nie zachłystuje się od radości wolnością, jak po poprzedniej wojnie, nie cieszy się chłopięco swobodą. Raduje się wewnętrznie i głęboko oddycha, ale zarazem stoi i coś sobie mocno waży, rozgląda się wokoło, szuka. Nie wybiera od razu, z beztroską pewnością siebie jednej z dróg wiodących w przyszłość, przygląda się im natomiast z ostrożna, ocenia je, bada z rozmysłem. Czuje swą odpowiedzialność za jutro swoje i za jutro swoich. Wie, że stoi na rozdrożu i zdaje sobie sprawę z tego, co od jego wyboru zależy. Z nieufnym uporem odrzuca te — zdawało się dotąd — tak pewne zasady i ideały, które go zawiodły i nie uchroniły od cierpienia i klęski, dobija się o nowe, których jeszcze nie może sobie jasno uświadomić. W świecie, który w jego oczach runął i rozsypał się w gruzy, usiłuje odnaleźć punkty stałe, na których mógłby się oprzeć w swym wysiłku twórczym. Szuka fundamentów, które przetrwały i na których można by rozpocząć odbudowę.

Emigracji polskiej, odciętej od lat od kraju, a więc myślącej bez wątpienia własnymi już tylko kategoriami, pozbawionej dopływu wystarczających

źródeł informacyjnych, trudno dziś zdać sobie sprawę z przemian, jakie zaszły w sposobie myślenia społeczeństwa w Polsce. Emigrant żył przecie życiem własnym, odmiennym; nic dziwnego więc, że utracił kontakt duchowy z rozwojem polskiej myśli współczesnej. Nie spotkał się twarzą w twarz z okrucieństwem wroga, nie był w piekle, słyszał o nim tylko z daleka, siedząc w zacisznej Szwajcarii lub na wyspie Albionu, gdzie nie postała noga nowoczesnych Hunów. Dlatego myśli jeszcze nieraz kategoriami sprzed wojny. Skłonny do uproszczeń tak niesłychanie skomplikowanych dziś aspektów życia polskiego, zbyt pochopny i jednostronny w swych sądach i ocenach, nie zawsze umiejący się nagiąć do koniecznej w rozumowaniu dyscypliny, często nie dostrzega lub nie rozumie tego, co myśli i co czuje Polak w Polsce. Ten, który tam latami trwał, patrząc co dnia w oczy niebezpieczeństwu i śmierci.

Dlatego może warto dziś spojrzeć nieuprzedzonym okiem na problemy, jakimi naładowana jest nowa polska rzeczywistość, ukazać — choćby tylko fragmentarycznie — jeden jej, najważniejszy i decydujący dla przyszłości, odcinek: walkę o światopogląd. Ta walka rozgorzała w całej pełni. Ta walka trwa! Atmosfera współczesnego życia polskiego nabrzmiała od problemów, które domagają się rozwiązania zasadniczego, nie połowicznego. Konieczność odbudowy kraju, przeorganizowanie jego struktury ekonomicznej, społecznej i ustrojowej jest dla każdego jasna. Nie dostrzega jej chyba tylko ten, kto zacietrzewiony własnymi złudnymi koncepcjami, uparcie krążącymi wokół tylko tego, co było, zapomina o tym, że Polska to nie tylko pewne pojęcie i pewna koncepcja, ale że to żywy organizm z wielu milionów żywych ludzi złożony, że więc ten organizm musi żyć, rozwijać się, rosnąć zaraz, już dzisiaj, nie za miesiąc, rok, parę lat. Że więc wybór drogi, wybór środków i metod budujących przyszłość staje się pierwszą palącą potrzebą chwili. Metody te muszą wykazać się gwarancją jak największej pewności. Metody te trzeba oprzeć na takim systemie światopoglądowym, który wytrzymał próbę ogniową i ostał się w czasach ogólnej klęski, który — jak to się popularnie mówi — „zdał egzamin".

Z zawieruchy wojennej dwa systemy wyszły zwycięsko, umocniły nawet — rzec można — swe stanowiska: Katolicyzm i materializm dziejowy. Wiązało je na czas walki ze wspólnym wrogiem braterstwo broni. Dziś, kierowane głęboką troską o przyszłość lepszą, wypowiedziały one sobie walkę o „rząd dusz", o wodzostwo. Oba chcą nieść światu dobrą nowinę, chcą zaprowadzić ład i porządek w miejsce chaosu i rozbicia. W pierwszym szeregu walczących stanął — jak nieraz, niemal jak zawsze — pisarz. Literatura, która tylekroć w naszej historii brała na swe barki brzemię zadań, wykraczających poza sferę jej artystycznych oddziaływań, i dziś otrząsnąwszy się ze swego międzywojennego pięknoduchostwa, podjęła walkę o wytyczenie dróg zbiorowości polskiej.

Cenny — zwłaszcza dla emigranta, do którego posłania z kraju docierają tak rzadko i nieregularnie — materiał, obrazujący problematykę i polemiki w kraju daje artykuł „Propozycje teraźniejszości", zamieszczony w nr 45 krakowskiego tygodnika „Odrodzenie" (7 październik 1945), a odznaczający się bezstronnością, sumiennością i rzeczowością. Artykuł ten wyszedł spod pióra Jerzego Andrzejewskiego, autora „Ładu serca", pisarza skłaniającego się przed wojną w stronę katolicyzmu. A oto zasadnicze jego myśli: Na piękno dzieła literackiego składa się „co" (treść) i „jak" (forma, artyzm), dwa elementy nierozdzielne. Słowa ludzi pióra, „podobnie jak czyny ludzi czynu, przydatne być muszą odbudowie... wypełniając wzór piękna, które jest wartością moralną, a więc społeczną". Piękno może się stać czynnikiem twórczym, może służyć odbudowie człowieczeństwa, przywróceniu sensu i porządku życia. Dlatego odpowiedzialny pisarz musi odnaleźć swą własną drogę, musi wiedzieć, „na czym wesprzeć samo wartościowanie". Dwie tylko doktryny mają dane na to, by uporządkować dzisiejszy chaos: katolicyzm i materializm dziejowy, Kościół i marksizm. Między tymi dwoma systemami o charakterze uniwersalistycznym oscyluje większość współczesnych intelektualistów. Mimo, że przeżywamy czasy, które winny rodzić fanatyków, „czasy wyboru i wierności", większość jest chwiejna, jak w okresie międzywojennym, kiedy nie przeczuwano idącej katastrofy. I wówczas, tym „intelektualnym przyjaciołom Kościoła", nie wyznawcom, brakło wiary. Dziś „równało by się tchórzostwu, gdyby rozporządzając tylko utylitarnymi racjami chciało się sztucznie ożywiać wygasłą wiarę. Historyczna era religii chrześcijańskiej kona na naszych oczach. Agonia może trwać długo, umiera przecież wielkość". Współpraca obu światopoglądów uniwersalistycznych jest niemożliwością. Jeden wychodzi z przesłanek nadprzyrodzonych, drugi z obiektywnie sprawdzalnych, jeden jest „religią objawioną", drugi „metodą poznawczą". Materializm dziejowy znajduje się u początku swej drogi, która nie wiadomo w jakim poprowadzi kierunku. „Na razie nie wydaje się, aby w kształcie obecnym posiadał materializm dziejowy wszechstronne racje do pełnego przyjęcia go za podstawę wartościowania. Natomiast można w nim znaleźć normy i pojęcia, które pozwalają osądzać sferę zjawisk obiektywnie sprawdzalnych. Społeczny osąd, a zatem i społeczna moralność mogą się na nim wesprzeć". Tym bardziej, że „z norm materializmu nie wynika konieczność zagubienia jednostki w tłumie". Tym bardziej, że „moralność społecznych pojęć materializmu wyrywa człowieka z chaosu i przywraca porządkowi". Jest tylko jedno zastrzeżenie dla pisarza-artysty: gdzie włączyć w ten całokształt światopoglądowy życie wewnętrzne człowieka? Jego myśli i intencje? „Dla tych zatem artystów, którzy nie sądzą, aby wartościowanie moralne ograniczać się miało wyłącznie do zewnętrznych przejawów życia człowieka, pojęcia materializmu dziejowego przestają w pewnym momencie wystarczać". I tu właśnie wraca autor do tradycji chrześcijaństwa. „Nie istnieje poza chrześcijaństwem taki zespół pojęć, który by pozwalał obiektywnie wartościować niezwiązane z czynem przeżycia człowieka". Pisarzowi, który odrzuca system chrześcijański, pozostaje jedyna droga: samotność, ta samotność, z której — jak autor przedtem stwierdza radośnie — wyrwała nas ostatnia wojna, dając nam poznać „smak braterstwa i smak wrogości".

Te skróty rozumowania Andrzejewskiego dowodzą, że pisarz ten szuka, że błąka się, zagubiony między dwoma koncepcjami świata, od siebie odmiennymi. Świetnie ktoś nazwał to stanowisko „okrakiem na barykadzie". Niewątpliwą wartość pozytywną przedstawia część pierwsza artykułu, określająca postawę pisarską wobec nowej rzeczywistości i wnosząca elementy ładu do dyskusji o światopogląd, określająca stanowiska stron. Wątpliwości zaczynają się budzić dopiero wówczas, kiedy Andrzejewski skazuje na zagładę chrześcijanizm, czy też — bierze go właściwie w sensie węższym — katolicyzm. Nie pierwszy raz w dziejach słychać twierdzenia, że katolicyzm się skończył. Zaledwie skrzepł on w zwarty i spoisty system tomistyczny, zaczęły nim

wstrząsać takie ruchy, jak odrodzenie, niosące z sobą nowy świat myśli klasycznej, reformacja, a wreszcie wiek oświecenia ze swoim krytycyzmem i racjonalizmem. Zdawało się, że z tego ostatniego wstrząsu nie dźwignie się on już nigdy. Romantyzm jednak stał się epoką odrodzenia religii historycznych, a zwłaszcza katolicyzmu. Tak — głoszą znane teorie — duch ludzki przerzuca się od jednej krańcowości, która zawiodła jego nadzieje, do drugiej. W okresach typowo przejściowych — jak czasy dzisiejsze — ścierały się zawsze ze sobą dwie siły: jedna, by zwyciężyć, druga, by ulec. Mówiło się, że zwyciężali „młodzi". Dziś młodzi stanęli w pierwszych szeregach po obu stronach barykady. Pokolenie starsze — tak mi się z oddali wydaje — nie angażuje się w tej walce w jasny, zdecydowany sposób. Stoi jakby na uboczu, choć bez wątpienia śledzi z napięciem przebieg sporu, którego wynik nie jest obojętny dla przyszłości polskiej kultury. Oba obozy wykazują dużą aktywność. Mocny atak na pozycje katolicyzmu przypuszczają marksiści, grupujący się wokół „tygodnika społeczno-literackiego" „Kuźnica". Pismo to, redagowane przez Stefana Żółkiewskiego, stoi na wysokim poziomie, starannie utrzymuje swoją linię ideologiczną, a na jego łamach spotkać się można z nazwiskami najzdolniejszych młodych pisarzy. Pisarze katoliccy wypowiadają się w „Tygodniku Powszechnym", w „Tygodniku Warszawskim", w „Dziś i jutro"; wybitniejsi skupiają się wokół poznańskiego dwutygodnika „Życie Literackie". W dyskusji ideologiczno-teoretycznej nie zawsze dają sobie rady ze swymi przeciwnikami. Jeżeli spojrzymy na spory ideologiczne katolików z obozami im wrogimi, poczynając od XVI w., stwierdzić musimy, że nie rozporządzali oni — poza nielicznymi wyjątkami — bardzo wybitnymi polemistami. Mimo że masy polskie zawsze były mocno związane z katolicyzmem. Filozoficzne uzasadnienie systemu katolickiego usiłuje dać ks. Piwowarczyk, atakowany często przez marksistów, nie tylko poważnych i dostojnych, ale zwłaszcza przez „wesołych chłopców", „którzy — jak pisał przed laty Świętochowski — biegną przed każdą armią, a podrzucając w górę nogami i łapiąc swoje własne chodaki, sądzą, że składają dowody wielkiego męstwa".

Że katolicyzm polski — i nie tylko polski — stracił w czasie obecnej wojny pewną liczbę swoich zwolenników, jest rzeczą niewątpliwą. Koszmar wojny z jej zniszczeniami materialnymi i klęskami wewnętrznymi zbyt wielkim ciężarem przytłoczył tych, których nazwał Andrzejewski chwiejnymi. Odeszli, siłą rzeczy szukając przytuliska u marksistów. Nie zawsze zresztą ci ostatni są zadowoleni z nowych wyznawców. Nowe, choć nie pozbawione zastrzeżeń, wyznanie wiary Andrzejewskiego powitali jedni okrzykami tryumfu, inni je zaatakowali, niezbyt zresztą mocno, gromiąc niezupełną prawomyślność. Ci katolicy, którzy zostali — dołączyły zresztą do nich nowe rzesze, szukające mocnego oparcia w tym gotowym systemie — wyszli z wojny wzmocnieni wewnętrznie, skonsolidowani bardziej niż przedtem, świadomi tego, że wobec nowej rzeczywistości należy zająć nową postawę. Ta świadomość istnieje nie tylko u nas, przejawia się ona i w innych państwach katolickich. Jej wyrazem są także m. i. ostatnie nominacje kardynalskie, wskazujące na to, że Kościół staje się coraz bardziej uniwersalistyczny, że obiera nową drogę, że chce stosować nową taktykę. Działa, idzie na spotkanie nowym przeobrażeniom. Żyje więc, nie kona, jak chce tego Andrzejewski. Katolicyzm posiada także własne normy moralności społecznej, właśnie społecznej, takie normy, na których

— bez konieczności uciekania się do marksizmu — „społeczny osąd, a zatem i społeczna moralność mogą się oprzeć". Normy i pojęcia, wypróbowane od wieków, normy i pojęcia, których rewolucyjność rozsadziła imperium rzymskie, normy i pojęcia, na których budowano od dawna, normy miłości bliźniego i sprawiedliwości społecznej. Nie zdołały one wprawdzie przerobić wewnętrznie człowieka, ale nie dlatego, że były niedoskonałe, tylko dlatego, że człowiek był i pozostał niedoskonały. Na długo przed marksizmem stawało chrześcijaństwo w obronie proletariatu i walczyło o jego prawa, chcąc dać jednakowe szanse życiowe każdemu człowiekowi bez uwagi na przynależność jego do partii czy klasy. Na nieszczęście liczni wyznawcy tego systemu zbyt mocno wiązali się w przeszłości z klasami reakcyjnymi, czy też za takie uważanymi. To smutne dziedzictwo przeszłości sprawia, że dziś szermuje się zbyt często tym argumentem, tak starym już i łatwym. Że padają zarzuty, iż wszystko, co reakcyjne w obecnej Polsce, umyka pod sztandary katolicyzmu. I to jest właśnie argumentacja „wesołych chłopców", argumentacja tania.

Rozprawa między systemem chrześcijańskim i marksistowskim przybrała największe nasilenie w Polsce. Rzecz to zrozumiała. Bliskie sąsiedztwo i silne związki ekonomiczne z Rosją, główną rzeczniczką marksizmu, który przetrwał próbę życia, bo wojnę rozstrzygnął na swoją korzyść, z drugiej zaś strony silne przywiązanie, zwłaszcza mas chłopskich, do religii katolickiej sprawia, że na naszym terenie rozgrywa się najzaciętszy bój. Tu stykają się bezpośrednio obie doktryny w swej formie najbardziej skrajnej, w stanie najbardziej skupionym, nasilonym. Ale ten sam problem stał się kwestią najbardziej żywotną i na Zachodzie zwłaszcza tam, gdzie — poza Polską — najbardziej wojna dała się we znaki, na terenach okupowanych przez nazizm: we Francji i w Belgii. Tu i tam oba obozy wyszły wzmocnione z wojny. Trzeba podkreślić niezwykłą ruchliwość katolicyzmu we Francji. Wokoło tego systemu grupuje się wielu wybitnych pisarzy i publicystów, pojawiają się coraz częstsze periodyki, akcentujące mocno ideologię chrześcijańską, określające wyraźnie swoją postawę wobec marksizmu. Dziś mówi się głośno o renesansie myśli katolickiej francuskiej. Teoretycy tej ideologii przemawiają głosem mocnym, dojrzałym, zdecydowanym. Ich wywody opierają się o mocny grunt argumentów, mają solidną podbudowę naukową. Uczonych, skłaniających się ku materializmowi dziejowemu, skupia poświęcona filozofii racjonalistycznej „La Pensée". Ideologię katolicką reprezentują liczne periodyki. Jeden z najbardziej skrajnych, miesięcznik „Etudes" głosi (styczeń 1946) konieczność zajęcia jasnej postawy wobec komunizmu i przeorganizowanie własnego programu, który streszcza się w następujących wnioskach: dążyć do sprawiedliwości społecznej opartej o zasadę Chrystusowej „charité", które każe chrześcijaninowi wykorzeniać wszelkie zło, duchowe i cielesne oraz potępiać rezygnację człowieka z walorów wiecznych i wyzysk człowieka; „rozgraniczyć wyraźnie religię i konserwatyzm poprzez demaskowanie przestępstw liberalizmu kapitalistycznego, poprzez mocne wołanie o reformę struktury społecznej"; „manifestować na każdym kroku jak największe umiłowanie człowieka"; jednocześnie zaś „rozgraniczać ruch robotniczy i komunizm", t. zn. iść z ludem i klasą robotniczą, a zwalczać makiawelizm metod komunistycznych, ateizm, zbyt ścisłe związki z zagranicą. Program ten wymierzony w swej części negatywnej przeciw marksizmowi uzupełniają wywody w numerze lutowym na temat: czy komunista może być dobrym obywatelem i patriotą.

Tak sformułowano nowy program katolicyzmu francuskiego. Rzecz jasna, nie jest to recepta na stosunki polskie. Potworne zniszczenia, obrócone w perzynę miasta, zrujnowana gospodarka — wymagają jak największego skupienia sił, mających na celu odbudowę. Taka odbudowa może się dokonać tylko w oparciu o jedność wysiłku, we współpracy wszystkich grup i wszystkich światopoglądów, zwłaszcza tych najgłówniejszych, najsilniejszych. Dlatego przyjmując pozytywne i postępowe postulaty programu katolicyzmu francuskiego nie można przeszczepiać bezpośrednio na grunt polski hasła wystąpień zbrojnych przeciw marksizmowi na terenie pozaświatopoglądowym, opóźniałyby one bowiem niewątpliwie odbudowę kraju, pracę twórczą narodu, a tym samym pogłębiałyby i tak olbrzymią nędzę człowieka. Andrzejewski nie mógł dostrzec drogi współpracy między katolikiem a marksistą „wobec całkowitej i zasadniczej odmienności światopoglądów". Ale czasami twarda konieczność życiowa wymaga, by ponad światopoglądowym pojedynkiem o zasady podać sobie ręce do współpracy na codzień, do budowania teraźniejszości, do tworzenia zasobów bogactwa narodowego. Dlatego cieszyć się trzeba, że z twierdzy wojującego marksizmu odzywa się umiarkowany głos pojednania, że ukazuje się wyciągnięta do współpracy dłoń. W nr 3. „Kuźnicy" (28 styczeń 1946) czytamy rzeczowe i bezstronne słowa jednego z głośnych koryfeuszów marksizmu Stefana Żółkiewskiego „O ks. Konstantym Michalskim", profesorze Uniwersytetu Jagiellońskiego, znanym i za granicą historyku filozofii średniowiecznej oraz takie propozycje: „Jednolity front na obecnym etapie naszej historii oznacza wypracowanie takich form życia politycznego, by umożliwiły one konsekwentne odnowienie ustroju bez zbędnych wstrząsów, intensywne zagospodarowanie ziem zachodnich, uruchomienie produkcji i pełną realizację zadekretowanego uspołecznienia przemysłu oraz walkę ze szkodnikami społecznymi. Przed taką współpracą katolików z marksistami nie cofniemy się. I potrafimy zawsze lojalnie oprzeć ją na uznaniu praw drugiego i szasunku dla jego stanowiska". Współpraca taka stanie się faktem, gdy po stronie katolickiej da się słyszeć — ponad czy popod płaszczyzną sporu o światopogląd — równie pojednawczy ton.

— — — — — — — — — —

Sądzę, że Polacy z emigracji muszą być zorientowani, czego chce Polska dzisiejsza i dokąd zmierza. Że dyskusje ideologiczne i światopoglądowe, jakie rozgorzały w nowej, innej strukturalnie niż przed wojną Polsce, muszą im być znane, co więcej muszą się stać dla nich istotne, nawet ich własne. Że i przemiany myśli społecznej nie mogą być dla nich oderwaną abstrakcją, lecz stać się muszą żywą rzeczywistością. Że Polacy z emigracji winni te problemy kulturalne i społeczne samodzielnie i do gruntu przemyśleć. Zwłaszcza ci, którzy nie zrezygnowali ze swego własnego, osobistego współudziału w budowaniu nowej Polski.

Władysław Łuczak (Szwajcaria)

Wiosna

Krzyk... to szepty...
Wyciągniętym kłusem dzień dobiega mety
I siada na gałęzie
Słowika trioletem...

Bór... O, borów
Powikłanych szeptów nie złowić, ani spostrzec
Barw i motyli
Nad zielonym drzew mostem...

Pól — nie można
Mieszać z borem i z tym, co leśne...
Co ziemi, a co lasów
(tyczy)
Pytaj ust czereśni...

— — —

... o serce? — pytasz...
Bo wiosna, mówisz, stoi i czeka...
(pomyśl)! —
Schowałem kiedyś twe serce
W moich powiekach...

* * *

Zofia Iwanicka (Szwecja)

Quo vadis, Domine?

Uchodził Piotr Apostoł z pogańskiego Rzymu...
Uprosili go wierni, by ratował życie,
I tam w wiejskim zaciszu lud nauczał skrycie,
Dopóki krwawą dłonią Cezar rządy trzyma.

Szedł drogą Piotr Apostoł, a za nim pacholę.
Dokoła trwało senne cichych pól milczenie,
W pustce głuchej dzwoniły kroki o kamienie,
Widnokrąg przesłaniały mgły, sunące z dolin.

Wyznawcy Chrystusowi w Rzymie pozostali,
Skazani na męczeństwo, na śmierć i zagładę.
Na próżno oczekują pociechy i rady —
A każdy krok tej drogi od nich go oddala...

Nagle ujrzał przed sobą postać Mistrza — Pana...
Wypłynęła, jak słońce, spośród mglistej toni...
Kij podróżny i sakwa wypadły mu z dłoni,
Bezwiednie, same pod nim zgięły się kolana.

Zapytał, cały drżący: »Dokąd idziesz, Panie?«
Bolesny szept usłyszał, spływający z góry:
»Idę, by mnie ukrzyżowano po raz wtóry...«
I jasna postać znikła w rannych mgieł świtaniu.

Długo Apostoł klęczał. Wreszcie wstał i w rękę
Wziął kij i ruszył szlakiem powrotnym niedoli...
»Dokąd idziemy, Panie?« — spytało pacholę.
Odrzekł: »Do Rzymu wracam po śmierć i po mękę...«



Leon Wyczółkowski. »Kościół P. Marii w Krakowie«



Jan Gumowski. »Częstochowa«

Aleksander Janta (Ameryka)

ŚPIEWAJĄCY GRÓB

W pasiece rzędem w rząd przy ulu stoi ul
patoka w plastrach lśni z przejętych wiosną pól,
z szumiących czerwcem lip, z koniczyn, z pąków róż
brzęczy od ciężkich pszczół złoty w powietrzu kurz.

W pasiece ciepły blask — pogodnych drganie strun
aż zerwał się zły wichr, rozpuścił pęki łun,
od nieba niesie lęk, łopotem wstał od łąk
i biją bębny bom i grozą brzęknął gong,
gong alarmowy pszczół — owadzi czuły słuch
przeniknął go do dna (drga głębiej niż dla much,
jest inny niż bzyk os, wyzuty z jasnych nut,
brzmi pełen szczelin trwóg o los, o ul, o miód).

Przeleciał warcząc ptak, złowrogi zniżył cień,
runęła seria bomb — na ziemi sądny dzień,
w pasiekę trafił błysk — dym opadł — ziemi dół
i cisza jest jak śmierć i brzęk bezdomnych pszczół —
szukają miejsc gdzie był, gdzie złocił im się świat,
ziemia rozdarta wgłąb, trafiły na ten ślad,
otwarty krater drga, wibruje rojny słup,
napełnił się nim dół — pszczół śpiewający grób.

Z cyklu „PEJZAŻE POMORSKIE“

MIARA NIEDOPEŁNIENIA

Rwany ongi pod lasem pęk dzikich łubinów
przy oknie na stoliku fioletowy kwitnie,
już zmierzch się na nim oparł słodko i błękitnie,
a matka jeszcze czeka nieobecnych synów.

Odwija kłębek nici jak cierpliwa prządka
licząca przebieg czasu postępem robótki,
lecz nie skończy jej nigdy, bo dzień był za krótki,
a w ręku nić zerwana, ostatnia pamiątka.

I chociaż czas dokonał pełnego obrotu
znów jesteśmy daleko — zrządzeniem wydarzeń.
Zacisnąwszy powieki na treść dawnych marzeń
ona jedna wie teraz, że nie ma powrotu.

Władysław Łuczak (Szwajcaria)



Było by może rzeczą dziwną a nawet śmieszną opisywać historię jakiegoś tam sobie psa — w dodatku o tak pospolitym imieniu, gdyby Bok, drugi bohater naszego opowiadania, nie odegrał ważnej roli i żywot jego nie związał się na zawsze z losami Antosia Pipke. W ciągu jednak dalszego opowiadania zrozumiemy, dlaczego imię to było jednak czymś bardzo ważnym dla Antosia — a także i to, dlaczego średniej wielkości pies, jakim był Bok, nie nazywał się bardziej szlachetnie n. p. Reksem lub bardziej wojowniczo Cezarem. W każdym jednak razie Bok był niezwykłym psem.

W czasie, w którym zaczyna się to opowiadanie, Bok niczym nie zdradzał przyszłej swej wielkości, nie można bowiem nazwać wielkimi wyczynami jego codziennych zajęć, ograniczających się do porannej gimnastyki z wysuszoną do szpiku kością, ani też pilnowania w nocy zagrody gospodarskiej, chociaż co prawda to ostatnie kryło już w sobie pewne znamiona bohaterstwa — jeśli się zważy niegroźny wzrost psa i szczekanie dyszkantem, do którego zresztą Bok bardzo rzadko się uciekał bynajmniej nie z obawy napędzania strachu lękliwym przechodniom lub koniokradom, ale po prostu ze względów czysto praktycznych. Bok nie był tchórzem, ale lubił tropić i dopadać cichaczem. Miał również zamiłowania... intelektualne, które przejawiały się zwykle po spożyciu tłustych odpadków po obiedzie. Ściągał on wówczas poważnym ruchem łapy ze stołu dopiero co przyniesioną gazetę i z namaszczeniem wyciągał na niej rozleniwione sytością ciało. Spiczasty pysk o fizjonomii skończonego urwisza spoczywał również na papierze. Nadawało to Bokowi wyraz kogoś głęboko pogrążonego w lekturze gazety. Interesowały go szczególnie tłuste nadruki tytułowe, które obwąchiwał z uważnym błyskiem w oczach. Drobnym drukiem pogardzał zdecydowanie, to też ta część gazety znajdowała się zwykle gdzieś w okolicy ogona.

Ojca Antosia, mężczyznę o wybitnie zarysowanej linii brzucha (nadmierna pożądliwość piwa!), denerwowało stale, gdy miast sięgnąć tylko na stół po gazetę musiał schylać się ku podłodze, co powodowało pojawianie się kropel potu na potężnym, wysoko zarysowanym czole.

— Bezczelne psisko — mówił wówczas — bo jak cię kopnę...

Słowa te dorzucał ze złością, podkreślając specjalnie „bo". I nigdy nie zdarzało się, aby przy tym nie usiłował ruchem nogi dosięgnąć psa, co mu się często udawało, gdyż tłuste tytuły gazety wprowadzały Boka w słodki sen o kościach, ociekających tłuszczem.

To małe, krótkie słówko „bo" odgrywało poważną rolę w psim życiu Boka, albowiem przywracało go zawsze do rzeczywistości w momencie, gdy we śnie chwytał tłustą kość — taką, jakiej nigdy jeszcze w życiu swoim nie widział. Dlatego też żywił głęboką urazę do ojca Antosia i nie obdarzał go sympatią, przelewając za to całą swoją miłość psią na Antosia, z którym wiązały go niezliczone psie figle i jednakowa nieśmiałość w obecności surowego gospodarza domu. Z czasem tak się był zżył ze słowem „bo", że reagował na każde jego wymówienie, choćby nawet nie wiązało się ono z kopnięciem nogą. Dodanie przez przypadek litery „k" nie miało już najmniejszego znaczenia dla Boka, chociaż w pewnej mierze łagodziło przykre wspomnienia.

W ten sposób Bok został właśnie Bokiem.

Płynęły lata. Wiosny ociekały delikatną bielą sadów. Lata gorzały złotem zbóż. Jesienie uginały się słodyczą owoców. Tylko zimy były ciche i markotne. Jak na wsi. Rodzina Pipkego, jak już samo nazwisko wskazuje, nie była pochodzenia polskiego. Podobno kiedyś przywędrowali tutaj jego dziadowie z jednym tobołkiem i osiedli na tej ziemi. Nikt jednak nie interesował się jego drzewem genealogicznym. Wystarczało, że był doskonałym gospodarzem. Od czasu do czasu wprawdzie w gościńcu, gdzie się schodzono i obradowano nad sprawami wioski, obficie zakrapiając „jednym", ktoś robił aluzje do jego nazwiska, ale ponieważ były to raczej żarty gospodarz Pipke zbytnio się nie obrażał. Odsyłał tylko złośliwca z pretensją do nieżyjącego pradziada o to, że właśnie takie, a nie inne, spodobało mu się nazwisko.

Raz tylko strasznie się zdenerwował, gdy Antoś wrócił ze szkoły, rozgniatając wiszące jeszcze na rzęsach łzy.

— Czego beczysz — spytał go obojętnie — pewnie nauczyciel cię obił? Mało to masz czasu, żeby wyuczyć się lekcji? I tak tylko latasz i bąki zbijasz. Dobrze ci, ucz się na drugi raz.

Antoś jednak nie przestał płakać.

— No, czego beczysz? — denerwował się już ojciec — gadaj!

— A bo mnie powiedzieli w szkole, że jestem Niemiec — wyszlochał markotnie Antoś — czy to prawda, że jestem Niemiec? Potem już nikt nie chciał się ze mną bawić i wszyscy ode mnie uciekali, wołając: szwab! A pan nauczyciel potem powiedział, że pewnie będzie wojna i mówił, że trzeba się bardzo uczyć i pamiętać polski pacierz... i że niedługo szkoły nie będzie, bo on też pójdzie na wojnę — kończył szlochając. — Prawda, ja nie jestem Niemiec? — bronił się jeszcze przed wyzwiskami chłopców.

— Jacy chłopcy? Kto cię tak nazywał? — gorączkował się ojciec. — No, niech ja ich dostanę... skończy się ich panowanie — rzucił pod niewiadomym adresem.

— Po co się bawisz z tą hołotą — dorzucił zaraz — żebyś mi więcej nie latał z nimi — dokończył tonem pogróżki.

Potem mełł jeszcze jakiś czas ordynarne wyzwiska w ustach i z groźnie zmarszczonymi brwiami wyszedł na podwórko, zostawiając Antosia z lękliwymi domysłami w sercu.

Po tym wypadku Antoś ucichł, schował się w sobie, przygasł. Nietrudno mu było zresztą ukryć swą troskę i być może pierwszy wielki zawód w życiu.

Ojca od tej pory nigdy prawie w domu nie było. Nieobecność tłumaczył Pipke krótką, niedopuszczającą żadnego pytania, uwagą.

— Muszę wyjechać. Sprawy gospodarskie.

Nikt oczywiście nie ośmielił się głośno wątpić w prawdomówność głowy rodziny, chociaż po cichu snuto smutne domysły, które objawiały się w częstym chwytaniu w ramiona przez matkę Antosia, jakby oboje szukali pomocy przed lękiem czającym się, zwłaszcza wieczorami, w straszliwej ciszy domu.

Któregoś dnia ojciec Antosia wrócił mocno podniecony. Do cicho krzątającej się żony odezwał się tonem, który miał brzmieć jak zwykła, obojętna prośba.

— Przygotuj coś nie coś do jedzenia... będziemy mieli dzisiaj gości. Tylko sza, ani słowa o tym — wtrącił, tajemniczo się uśmiechając — są to wspólnicy w pewnym interesie, który przyniesie nam wielkie bogactwo. Poślij Antosia do gościńca, niech przyniesie sznapsa. Przy wódce zawsze lepiej gada się o interesach.

— Mógłbyś też gdzieindziej z nimi pogadać — perswadowała nieśmiało żona — i tak już mają ciebie na oku z powodu tych częstych wyjazdów... Antoś wrócił wczoraj z podbitym okiem. To za twego vatra... ktoś mu powiedział. Jeszcze jakieś nieszczęście sprowadzisz na dom — kończyła z łagodnym wyrzutem.

— Nie gadaj, nie twoja to głowa — odburknął Pipke — nieszczęście może i będzie, tylko nie u nas. Niech się oni strzegą — pogroził w stronę wsi — no, przygotuj wszystko, jak powiedziałem, a ja wyjdę im naprzeciw, bo oni nie tutejsi.

Antoś właśnie wchodził do izby, gdy ojciec rozmawiał z matką. Zatrzymał się jednak przed drzwiami, aby podsłuchać rozmowę, która upewniła go ostatecznie o prawdziwości jego domysłów. Nie spostrzegł się też, że ojciec skierował się ku drzwiom i został przyłapany przy dziurce od klucza w momencie, kiedy gwałtownie odskoczył od drzwi.

— Co ty tu robisz, smyku — niespokojnie zapytał ojciec — czyś aby nie podsłuchiwał o czym ojciec rozmawia z matką?

— Ale nie, ja właśnie chciałem wejść, kiedy ojciec otworzył drzwi, więc odskoczyłem — skłamał na poczekaniu Antoś.

Stary Pipke spojrzał przenikliwie na syna, lecz tamten miał minę tak niewinną, że uwierzył i ruszył dalej, zabezpieczając się jednak na przyszłość groźnie rzuconym:

— Pamiętaj!

Zapadł wieczór. Tylko przez gałęzie pobliskiego boru przeświecał jeszcze żar gasnącego słońca. Mżył zmierzch zmieszany z mocną wonią ziół. Na niebie czerwone pręgi zórz przechodziły w siny fiolet i bór tchnął świeżością późnego wieczoru. Cisza objęła wszystko w półsenne omdlenie, tylko w sosnach niedalekich trzepotały niecierpliwie wrony, znużonym krakaniem kłócące się o wygodniejsze gałęzie. Czasem wiatr zaszemrał w liściach sadu i odchodził przyciszonym basem po szczytach boru. Zresztą cisza sierpniowa leżała na pustych polach.

W izbie ojca Antosia siedziało przy stole dwóch obcych ludzi. Pilne musieli mieć sprawy i poważne, bo tamci mówili przyciszonym, ale dobitnym



Aleksander Mann. »Kaźmierz«



Adam Herszaft. »Miasteczko«

głosem, ważność pewnych zdań podkreślając wymownym gestem, który zdziwiłby obserwatora, gdyż nie miał on nic ze sprawami gospodarskimi wspólnego, a raczej obrazował moment wieszania kogoś, czy strzelania do kogoś. Towarzyszyło mu mściwe mrużenie oczu.

— Jawohl! — głośne odezwanie się ojca Antosia przerwało długie szepty.

— Also... — zamknął rozmowę jeden z gości, zabierając się do wyjścia.

— Widzi mama, jaki Bok jest niespokojny — pytał się Antoś w drugim pokoju — on nigdy tak się nie zachowywał. A przypomina sobie mama, jak on się rzucał na nich? On coś czuje. On wie, że coś się święci. O czym oni mogą rozmawiać?... Czy ja jestem Niemiec, mama — pytał coraz senniejszym głosem.

— Idź już spać. Po co się pytasz? Ty wiesz, że nim nie jesteś. Nie mów tylko ojcu, bo będzie się gniewał.

— Dobrze, już idę... A czy będzie wojna? Bo dzisiaj pan nauczyciel powiedział, że już nie będzie jutro uczył, bo jest zmobilizowany. Co to jest zmobilizowany? — jeszcze chwilę zastanawiał się nad ostatnią myślą i usnął.

Następnego dnia wszystko wróciło do normalnego porządku. Nic by nie zdradzało bytności Niemców, gdyby nie ponure zamyślenie ojca Antosia, który okazywał coraz większe zdenerwowanie. Wychodził też częściej do sąsiadów Niemców, z którymi nad czymś długo konferował. Złowrogi niepokój zawisł nad wsią i cisza przed burzą.

Pewnego dnia nareszcie coś się stało.

— Wojna — mówiła cisza po nieobecnych mężczyznach.

— Wojna — mówiły zaciśnięte usta kobiet.

— Wojna — grzmiał bór.

Bezchmurne zaś błękity wrześniowego nieba, z którego lał się łaskawy żar słoneczny na dojrzewające owoce, drżały od kąśliwego bzyku samolotów. Jak potężne kule leciały one wysoko, kierując się w głąb, szukając serca Polski — Warszawy. I szły, kalecząc tę ciszę słodkiego dojrzewania całorocznej pracy. Deptały metalicznym cielskiem to niebo, błogosławiące jasną pogodą ziemie ustawicznego znoju, zlewane obfitym potem, ku którym od stuleci wyciągały się chciwe ręce zachodniego sąsiada, niszcząc ich szlachetny dorobek i zamieniając w gruzy dopiero co wzeszłe kiełki życia.

Antoś stał i patrzał.

Przed dom wyszedł też ojciec Antosia. Rozradowanymi oczami pieścił lecące kule samolotów. Patrzał za nimi długo aż zniknęły, a potem odwracał oczy ku zachodowi i czekał niecierpliwie na inne.

— Lecą — bełkotało mu w gardle radośnie — nareszcie skończy się ich panowanie na naszej ziemi — opluwał ten kraj dookolny, który go żywił tym samym chlebem i otaczał mądrym, ludzkim prawem.

I znowu minęły lata.

Wiosny szły jak dawniej w białych kiściach bzów i jak dawniej zorze pozłociste zapadały za borami. Tylko pole zarastało dziko, tylko ciemniejsze i dłuższe były jesienne wieczory. Tylko wiatr inaczej zawodził w gołych drzewach i wściekłej gził liśćmi po pustkowiach.

Nad wioską leżała zimowa cisza, ale inna niż kiedyś — cisza białej żałoby i grobów.

Gdyby ktoś z tych, co dawno odeszli z niej na tułaczkę i poniewierkę, przenieść się mógł tęsknotą swej duszy w jej opłotki i przejść się po znajomych mu, a majaczących się w bezsennych nocach drogach — zobaczyłby przedziwne obrazy, zaglądając po kolei w pobladłe wnętrza chat. Listy jakieś zżółkłe na stole, czytane załzawionymi oczami matek, starca ponuro wpatrzonego w czerwony płomień kominka, osowiałe dzieci bez uśmiechu. I może zapomiałby wówczas na chwilę o gorzkich wyrzutach, które zatruwały mu noce, może wyrzuciłby z siebie żal za ich milczenie. Gdyby tylko raz spojrzał przez zaciemnione okulary szyb w straszną głąb ich duszy... Gdyby zaś usiłował wejść do któregokolwiek z tych domów, zakrwawiłby tylko serca. Spotkałby się z pytaniem:

— Już wróciłeś? A inni?

Bo przecież nie myślano by tylko o nim, ale o wszystkich. Bo tam czekano na wszystkich.

I jaką znalazłby odpowiedź na długie lata ich tęsknoty, spędzone na gorących modlitwach o powrót tych, co odeszli? Co mógłby przeciwstawić ich walce, ich pozornie nic nie znaczącemu, upartemu trwaniu?

Antoś wyrósł na poważnego młodzieńca. W głęboko zranionym sercu czuł tylko lekki żal do dawnych kolegów, ale nie dziwił się zbytnio ich wrogiej postawie w stosunku do siebie, gdy dowiedział się, że wiele rodzin opłakuje swoje dzieci wywiezione w głąb Niemiec dzięki ojcu, który wywierał swoją zemstę na sąsiadach. Stosunki między ojcem i synem psuły się coraz bardziej. Do starć jednak nie dochodziło, bo stary Pipke zajęty wprowadzaniem nowych porządków niewiele czasu poświęcał sprawom gospodarskim i rodzinnym. Wysługiwał się polskimi parobkami, a w stosunku do syna odczuwał niekiedy pewne wyrzuty, że tak mało zajmował się jego wychowaniem. Ten wzgląd mącił w dużym stopniu jego radość z powodu nowych porządków. Nie mógł się również wyzbyć pewnego żalu do syna, który tak mało znajdował zrozumienia dla jego działalności. Nie poddawał się jednak zwątpieniu. Wierzył niewzruszenie, że Niemcy zwyciężą i pozostaną na zawsze na tej ziemi i że w jego synu, chwilowo obałamuconym, odezwie się jednak niemiecka krew.

Właśnie w tym czasie, kiedy pan Pipke zwykł był już siadywać wieczorami z fajką przy piecu i snuć przyjemne plany na przyszłość, nieoczekiwanie zaczęły zrazu nieśmiało, potem coraz natarczywiej krążyć wieści o napadach zdawałoby się już ujarzmionych ludzi. Napełniały one bladym przerażeniem zwycięzców. Stary Pipke zabezpieczał się przezornie przeciwko wszelkim ewentualnościom, trzymając zawsze broń w pogotowiu, ale to go niezupełnie uspakajało. Dlatego z wielką radością przyjął wiadomość, że do wioski ma przybyć oddział niemiecki w związku z coraz częściej powtarzającymi się aktami sabotażu. Działalności tych niezwykle odważnych mącicieli niemieckiego porządku sprzyjały lasy, ciągnące się kilometrami. Wypadali z nich, niosąc zemstę i śmierć.

Tymczasem żołnierze niemieccy rozlokowali się wygodnie, zajmując najpiękniejsze domy polskich gospodarzy. Nie troszczyli się o los tych ludzi.

Młodzi przeszli do lasu, starzy dźwigając tobołki poszli przed siebie. Celem ich wędrówki był często Majdanek, Dachau, Oświęcim i tyle innych miejsc zbrodni.

Antoś zaś uczył się po niemiecku. Łatwo chwytał wyrazy, a żołnierze zbytnio nie krępowali się jego obecnością i mówili coraz więcej o sprawach wojskowych. Ojca cieszyło niezwykle to zainteresowanie Antosia dla języka niemieckiego. Widział w tym dowód, że syn zaczyna rozumieć jego postępowanie. A Antoś uśmiechał się tylko i przestał już reagować na bolesne do-



cinki chłopców, wołających za nim: szwab. Tylko czarne cienie przebijały się przez bladą skórę twarzy. Czasem mrugał oczami, jakby mu się zbierało na płacz. Czasem znowu bywał niezwykle niespokojny, co aż zwracało nań uwagę ojca, który tłumaczył sobie ten stan przejściowym czasem. Niepokoił go tylko wyraz zaciętych warg.

— Gdzie jest Bok? — pytał umyślnie o coś innego, niż miał na myśli.

Tego pytania widocznie najbardziej obawiał się Antoś, bo twarz bladła mu jeszcze bardziej. Silił się jednak na spokój.

— Zamknąłem go, bo żołnierze niechętnie go widzą. Pies się wściekł, czy co, bo rzuca się na każdego, a oni kopią go tak długo, aż ucichnie. Ale i wtedy jeszcze zakrwawionym pyskiem nie przestaje ich kąsać.

— No, no, cóż temu psu tak nie podobają się Niemcy — dziwił się stary Pipke — widocznie go drażnią.

— Ale nie... on sam... a Niemcy mówią na niego: polski pies.

Stary zresztą nie interesował się dalej psem, bo mniał inne kłopoty. Tymczasem Antoś niespokojnie chodził koło domu i wyglądał w stronę lasu. Czynił to zawsze wieczorem, bo łatwiej było wykłamać się ojcu, że to idzie zadać siana koniom, pozamykać wrota... Któż się bowiem mógł spodziewać, że ta wieczorna troska Antosia miała jakiś związek z borem i że przedmiotem niepokoju i wyglądania jego był właśnie Bok.

Coś się poruszyło w pobliskich krzewach. Antoś drgnął. Spojrzał błyskawicznie w stronę domu, zamknął bezszelestnie furtkę i wyszedł w pole. Stanął i badał jeszcze uważnie oczami rysujące się na białym szkle śniegu czarne przedmioty. Potem zagwizdał cicho. Niewyraźny szelest zeschłych pręcin wypełzł z krzaków i czarna kula potoczyła się w stronę Antosia.

— Bok — zaszeptał Antoś — moja mała psina, już myślałem, że cię nie zobaczę...

I drżącymi rękami zaczął czegoś szukać pod obrożą.

— Gonili cię... co to, czyżby dzisiaj nic ci nie dali — zląkł się — a może jakie nieszczęście... może obława...

— Aa...a — spadła mu z piersi zmora trwogi. Tulił spoconego psa do piersi. Bok dyszał i gorącym jęzorem wyparskiwał pianę zmęczenia na zaciśnięte ręce Antosia, trzymające kurczowo papierek.

Mdły snop światła wypełzł zza kubraka Antosia i uważnie zaczął obmacywać papier.

„Donieść rozlokowanie dowództwa, skład broni, plan ścieżek, natychmiast. Donieść, gdzie czujki, jakie i gdzie wypady na jutro, natychmiast".

Lampka zgasła. Tylko Antoś i Bok leżą pod krzakami i myślą. Tak się spać zachciało naraz Antosiowi, że z trudem tylko opiera się owładającej nim senności.

— Tak miękko na śniegu — marzył dziecinnie. Zdawało mu się, że ciepłe ręce matki biorą go i niosą do łóżka, że ojciec uśmiecha się do niego dobrym uśmiechem, gładzi po włosach i mówi:

— Śpij Antoś. Ta wojna, widzisz... jej wcale nie było... pan nauczyciel nie został zmobilizowany. To nieprawda, że chłopcy wołają za tobą: szwab. Jutro pójdziesz do szkoły i będziesz się bawił z nimi, jak dawniej. Śpij Antoś... widocznie czytałeś jakąś okropną książkę i przyśniła ci się wojna...

Antoś zamyka mocno oczy i tuli w nich ogromną szczęśliwość. Pragnie zerwać się, pocałować w rękę ojca i powiedzieć:

— Prawda tatuś, ty nie jesteś Niemcem...

Bok lizał chłodne ręce Antosia.

Bór w dali modlił się czarnymi ramionami drzew. Zdawało się Antosiowi, że poznaje głosy wszystkich znajomych. Wsłuchał się. Od dębów szło groźnym grzmotem, a sosny kwiliły płaczem.

— Kto mię woła? — ocknął się — czy to ty Walusiu, który straciłeś ojca wczoraj?

— Czego chcesz — drgnęło lękliwym pytaniem w Antosiu.

— Pójdź! — grzmiał bór — za twego ojca, za wszystką ziemię, którą skradł... za groby... Pójdź! Ratuj tych, co zostali...

— Donieść... natychmiast — wołał bór.

Spojrzeli sobie w oczy: Antoś i Bok. I poszli na zew.

Skoczyli w ścieżki i pobiegli. Byle do pierwszych drzew... chyba nie ma tutaj Niemców w tej stronie — zaniepokoił się. Dotknął kieszeni...

— Są — uśmiechnął się w sobie, namacawszy niezgrabne ale wyraźnie narysowane plany, oddawna przygotowane..,

Halt! — wybiegło z ciszy metalicznym dźwiękiem — i szara postać żołnierza wynurzyła się z krzaków w ślad za słowami.

— Jezu — zabełkotało w sercu Antosia — jutro tamtych powieszą i znów bór zatoczy się jęczeniem... co robić? — rozpaczliwie czepiał się uciekających myśli — uciekać?... zastrzelą... Bok... Bok — bezradnie wołał psa.

Bok wydarł się trwodze i skoczył na Niemca. Bezradna kopanina niespodziewanie napadniętego ośmielała psa coraz więcej. Nacierał coraz zuchwalej. Niemiec opanował się po krótkiej chwili i czekał z pistoletem. Strzał... potem obrócił się, szukając Antosia.

Dobrze znane ścieżki prowadziły Antosia w głąb lasu. Musiał znać dobrze tę gmatwaninę dróżek, bo ani razu nie zawahał się w ich wyborze.

O dobrą godzinę rzetelnego biegu, w samym prawie środku lasu, stała rozwalająca się rudera, do której oddawna nikt nie zaglądał. Od czasu tragicznej śmierci leśnika ludzie skrzętnie omijali tę okolicę, chodziły bowiem słuchy, że w tym budynku straszy. Właściciel lasu nie czynił nic, aby uporządkować domostwo i znowu je zaludnić, gdyż pogłoski o strachach były mu wielce na rękę. Chwalił się też często, że do pilnowania drzewa i zwierzyny nie potrzebuje leśnika, bo duch poprzedniego stróża odstraszał kłusowników i złodzieji drzewa.

Ile razy Antoś zbliżał się do tego domu robiło mu się niewyraźnie. I teraz też na chwilę zawahał się, tak przygnębiające robiło wrażenie to domostwo i ciemność, która je otaczała. Zatrzymał go przyciszony, ale groźny, głos niewiadomo skąd wychodzący.

— Kto idzie?

Antoś szybko zapomniał o strachu.

— To ja, Antoś. Przyniosłem plany. Śpieszcie się bo mnie złapali, ale uciekłem, tylko Bok został... — wyrzucił jednym tchem.

— Poczekaj chwilę, zaraz ruszamy, tylko dam znać.

Po chwili szczęk broni oznajmił, że idą.

— Naprzód! — padła komenda idącego przodem, który równocześnie wziął łagodnie za rękę Antosia.

— Czy aby Niemiec cię nie poznał. W takim razie nie mielibyśmy po co iść. Prędko by się połapali, kto im te wszystkie figle płatał i udaremniał ich wycieczki.

— Nie, nie myślę, bo było ciemno. Tylko boję się, że mógł poznać Boka, choć i to jest mało pewne, bo od dłuższego czasu z nim nie chodziłem, więc mogli go zapomnieć. Tak mi strasznie żal Boka — dodał z żalem — był jedynym moim przyjacielem...

— Gdy będziemy tamtędy przechodzili — odezwał się po chwili z nadzieją w głosie — trochę zboczę, to niewiele czasu zabierze... może jeszcze dycha... może go odratuję.



— Dobrze — odpowiedział tamten z dobrocią — tylko nie marudź, bo plany chociaż są, to jednak lepiej mieć przewodnika. No, śmigaj, stąd najbliżej do tego miejsca. My idziemy dalej...

Antoś skoczył jak żbik na ścieżkę, prowadzącą do domu. Gnała go szalona trwoga o Boka. Szukał tylko ciemnej plamy na śniegu.

— Jest coś — zabiło w nim nadzieją — czy aby dycha?

Krztusił się ze zmęczenia.

— Bok!... Bok! — dopadł w jednej chwili psa i przytulił do twarzy ostre szpilki szronu, zamarzłe na wąsach psa.

— Bok!... Bok! — zatoczył się pijany z żalu i szedł nieprzytomny z psem w ramionach.

— Wer da? — zaszczekało jadowicie z boku. Antoś szedł głuchy na wszystkie głosy.

— Wer da? — bryznęło jeszcze wścieklej. Antoś nie słyszał.

Krótkie odwodzenie zamka i strzał...

— Jezu — padło z ust Antosia. Ciało jego osunęło się ciężko na ziemię.

Niemiec przyskoczył i cofnął się natychmiast gwałtownie.

— Donnerwetter! To tak? Ładnego synka się pan Pipke dochował. Ale będzie miał uciechę stary dureń...

— To pan, panie Pipke? — rzucił postaci biegnącej od strony domu Antosiowego ojca.

— Poznajesz pan tego łobuza? — drwił Niemiec.

Ojciec Antosia właśnie wracał o tej porze do domu, gdy u drzwi zatrzymał go odłos strzału. Tknięty złym przeczuciem pobiegł w kierunku strzału i zanim Niemiec domówił drwiących słów już dopadł do leżącego ciała.

— Antoś — buchnęło mu z gardła. Skowyt jego bolu skonał w salwie strzałów, dochodzących ze wsi. Bili się widocznie, ale ojca Antosia już to nie obchodziło. Leżał przy synu i delikatnie szukał uchem bijącego serca, spod którego ciekła ciepła wstążka krwi.

— To ty, tatusiu? — zaszemrało słabo w ustach Antosia. — Wiesz, Bok nie żyje -- kończył przedśmiertną myśl, na której na chwilę zatrzymało się jeszcze ulatujące życie.

— Zabierzesz go i położysz koło mnie... — snuł cicho dalej — ale co to?... Strzelają?

Starał się z bolesnym wysiłkiem zrozumieć znaczenie strzałów.

— Aha, wojna — przypomniało mu się. Ujrzał naraz dzieci, które wołały za nim: szwab i Niemców w domu i lecące samoloty... a teraz tamci poszli, aby się mścić, a on miał ich prowadzić... za ojca, za ziemię, którą skradł...

— Kto mnie woła? — szarpnęło nim — czy to ty Walusiu, który straciłeś ojca?

— Nikt nie woła, Antosiu — uspokajał ojciec — tylko bór tak szumi... zdaje ci się. Zabiorę cię do domu i wkrótce będziesz zdrów.

Usiłował go podnieść w ramiona.

— Nie, oni mnie wołają... muszę iść.

— Ale gdzie? Po co?

— Za krzywdę, za ziemię, którąś skradł.

W starym coś zaskowyczało.

— Tak, kradłem, a Antoś ją wziął i opryskał krwią i trzyma.

— Nie jesteś Niemcem — dusił mu szept gardło — i ja nim nie jestem.

— Idę — padło ciężką skruchą i bólem — idę oddać ziemię, którąm skradł.

— Stój, stary — zatrzymał głos w ciemności — Antoś już ją odebrał. Staraj się tylko ją zatrzymać i kochać, jak on i umierać dla niej, jak on. Pójdź z nami, bo nie masz tu już co robić. Zabierz kobietę i w lasy.

— Antosia z Bokiem zabierzemy — kończył przywódca wyprawy, której przewodnik szedł samotną ścieżką ku wieczności.

...tylko w dali wołał bór.

GŁOSY PRASY

Dzisiejsze »pokolenie wojenne« młodzieży. Problem wychowania młodzieży nabiera w dzisiejszych czasach specjalnego znaczenia. Na ogół panuje przekonanie, iż nasza młodzież, która dojrzewała i rozwijała się w ciągu 6 lat wojny, daje sobie wszędzie dobrze radę, jest samodzielna, a twarda szkoła wojenna nauczyła ją wiele. Przeciw temu poglądowi zwraca się St. Chojnacki w numerze 2 (29) »OCHOTNICZKI«, pisma Polskiej Służby Kobiet we Włoszech.

„Największą krzywdę, jaką można uczynić człowiekowi jest zabranie mu jego dziecięctwa. Tę krzywdę uczyniono milionom dzieci. Dziecięctwo, nierozłącznie związane z istnieniem domu i rodziny w ścisłym tego słowa znaczeniu — wywiera ogromny wpływ na późniejsze życie uczuciowe człowieka. W dziecięctwie zbierają się bowiem zasoby tkliwości, niezbędnej do sformułowania pewnej osobowości. Szczęśliwe dzieciństwo czyni człowieka dojrzałego łagodnym — właśnie w stosunku do słabych. Do jakich nieobliczalnych skutków brak tej właściwości doprowadza — wykazała obecna wojna".

Obok tej wady autor wskazuje na trzy dalsze, będące bezpośrednią konsekwencją życia obozowego, z dala od szkoły i normalnego domu rodzinnego, są to: naiwność i bezradność intelektualna, nieufność oraz beztroska.

„Brak szkoły, regularnej twardej nauki, pozbawił młodzież lub bardzo ograniczył w umiejętności kojarzenia przyczyn i skutków, w umiejętności myślenia w ogóle. Szkoła daje człowiekowi jako najwyższe dobro rozróżnienie absolutu i relatywizmu jako podstawę do oceny wszelkiej wartości. Przy obserwowaniu młodzieży dzisiejszej uderza nieproporcjonalność celów i wysiłków, podejmowanych przy zmierzaniu do nich. Ten brak rozwinięcia lub dojrzałości intelektualnej stwarza, że reakcje młodzieży są w dużym stopniu nieprzewidziane".

„...młodzież wojenna jest nieufna... Wiara jako czynnik niekontrolowany istnieje potencjalnie w dziecku najsilniej. Dziecko wierzy np., że rodzice są najmądrzejsi na świecie i w tysiąc rzeczy innych, obiektywnie tak samo nieprawdziwych. Wiara dziecka jest bardzo silna i bez zastrzeżeń. Podstawy jej pozostają na całe życie jako dyspozycja psychiczna, którą można sformułować w ten sposób: „Mam zaufanie do drugiego człowieka, dopóki zaufania nie stracę". Odwrotność procesu, czyli podstawowy brak zaufania, które dopiero przełamują pojedyncze wypadki, są cechą człowieka pierwotnego, a w środowisku, w którym ta zasada panuje, życie jest bardzo utrudnione".

„...Mimo bardzo złych warunków, wyrabia się w ludziach obozowych pewna beztroska. Przecież ktoś za nas myśli o dachu nad głową, wyżywieniu i pracy... Młodzież winna zdawać sobie sprawę z tego, że właściwym źródłem utrzymania ludzi młodych i silnych jest ich własna praca".

Gościnność polska — cechą, którą wojna spotęgowała. Ostatnia wojna zdemaskowała szereg wartości. Jakże często człowiek okazał się wilkiem i szakalem, jakże często wojna wyprowadziła na światło dzienne złe namiętności. Z drugiej jednak strony, jak dowodzą tego liczne świadectwa, wojna jak nigdy przedtem podkreśliła również cały szereg dobrych wartości i zdynamizowała życie duchowe w Polsce. Na temat ten »TYGODNIK POWSZECHNY«, wychodzący w Krakowie, zamieszcza w numerze 39 ciekawy artykuł Stefanii Skwarczyńskiej:

„Wojna dawała okazję do sytuacyj ewangelicznych, bo kto kiedy w spokojnych czasach miał okazję oddać drugiemu wdowi grosz? Ostatni grosz. A przecież ileż razy zamykało się małą dyskusję słowami: „ty idziesz, ja sobie poradzę, weź". Kiedyż dawniej była okazja odjąć sobie ostatni, dosłownie ostatni, kęs od ust, aby dać go głodnemu dziecku. Oddać ostatnią ko szulę. I przeciwnie: ileż razy powrotna fala miłości człowieka, nie bliskiego w ciasnym sensie rodzinności, lecz dalekiego, przychodziła do nas w chwili głodu z bochenkiem chleba, z garścią kaszy, w chwili załamań z dobrą radą i słowem miłości. I iluż — trzeba ich policzyć, póki pamiętamy — umiało poprostu, bez mierzenia patosu sytuacji, zamienić się na życie z kimś innym: potrzebniejszym, kochańszym, lękliwszym. Milczące usta obozów, więzień, wypraw egzekucyjnych — niech wydadzą świadectwo prawdzie. Tak, miłość spotęgowała się do istotnego swego sensu; z fioritur na welinowych kartkach przedwojennego romansu — zeszła w życie i jak życie i śmierć stała się mocna, prosta, oczywista i nieświadomie heroiczna.

„Ogarnęła szerszy krąg. Bliźni stał się znowu ewangelicznym bliźnim. Obcy stał się bliskim. Miłość bliźniego tyczyła nietylko brata. Miłość macierzyńska wyszła z kręgu zabiegów o własne dziecko..."

„...W nowy sposób nawarstwawiają się rodziny. Nieraz się zdarzy, że wracający do domu z wojny mężczyźni zastają rodziny zwiększone o przygarniętych heroiczną miłością kobiety. Okazuje się, że dom ma ruchome ściany. Że gdy ciasno — jeszcze pomieści. Że gdy głodno — przecież stanie dla sieroty. I wiadomo: nigdy Bóg w takim domu nie zawiódł. Zawsze w najgorszej i w ostatniej chwili — zjawiała się nieoczekiwana pomoc. Byle tylko ufać i ufać bez granic".

Autorka konkluduje:

„...ten dorobek wojny: zdynamizowane serce i nową koncepcję bliskiego trzeba będzie w Polsce na zawsze zachować".

„...i w związku z tym, trzeba zachować nową koncepcję domu, niech to nie będzie poprostu miejsce, gdzie się je i śpi. Nie zapatrujmy się na zazdrosną ekskluzywność francuskiego ménage, miejsca tylko dla siebie. Ani amerykańskiego home, który jest miejscem, gdzie można zdjąć marynarkę i położyć nogi na stół. Ani angielskiego „my home, my castle" — otoczonego niemal fosą i wałem obronnym przed intruzem. Polski dom musi mieć ruchome ściany.

„Miejmy odwagę rzucić w świat nową koncepcję, nowy model domu, domu o ruchomych ścianach — model piastowej chaty".

O planowe badanie sztuki polskiej. Nr 47 krakowskiego »ODRODZENIA«, który dopiero teraz dotarł z opóźnieniem do Szwajcarii, zawiera artykuł Tadeusza Dobrowolskiego na temat dotychczasowych wyników polskiej historii sztuki.

„Naukę w zakresie historii sztuki cechowała dotychczas bezplanowość, jaka była wynikiem następujących okoliczności: braku ustalonego programu badań, braku ich koordynacji oraz przewagi poczynań indywidualnych, zacieśnionych naogół do problemów fragmentarycznych. Opracowywało się przeważnie poszczególne zabytki, które z czasem miały się scałkować w obraz całości, do czego jednakże nie doszło. Badania takie prowadzą tylko do wykrycia zależności zabytków od sztuki obcej, do ustalania filiacyj stylistycznych, ale nie mogą doprowadzić do sprecyzowania cech odrębnych naszej sztuki, bo to studium wymaga znajomości całego materiału zabytkowego".

Autor artykułu woła o sporządzenie spisu topograficznego zabytków, który posiadają niemal wszystkie narody Europy, z wyjątkiem Polski. Nadto przestrzega przed »przyczynkarstwem«, które w dziedzinie historii sztuki znowu zaczyna w Polsce kwitnąć i zwraca się przeciw skierowywaniu badań na działalność artystów obcych. Wysuwa on następujące działy historii sztuki polskiej, które zasługują na natychmiastowe zbadanie:

„Drewniane budownictwo przed- i wczesno-historyczne, Kościół drewniany w Polsce, Architektura i rzeźba romańska w Polsce (np. rotundy polskie, Wrocław a Strzelno, katedry romańskie, architektura cysterska), Architektura gotycka (budownictwo zakonów żebrzących XIII w., katedry polskie, kościoły hallowe itd.), Rzeźba gotycka, w szczególności nagrobki piastowskie na Śląsku, Początki polskiego malarstwa gotyckiego na Podkarpaciu, Najstarsza rzeźba drewniana, Attyki polskie, Późnorenesansowa architektura i jej gotyckie tradycje, Nagrobki rycerskie XVI i XVII w., Prowincjonalny barok polski, Rodzime malarstwo portretowe XVII i XVIII w., Malarstwo cechowe XVI i XVII w., Ornament ludowy, Sztuka polska jako wyraz starcia się Zachodu ze Wschodem. Tytuły te nie wyczerpują, rzecz oczywista, całości, ale informują wymownie, jak wiele jest u nas do zrobienia. Przyznać trzeba, że wiele z tych tematów znajdzie wcale mocną podbudowę w dotychczasowych badaniach. Nowością planowanych wydawnictw byłaby jednak zawsze ich kompletność oraz ich wygląd typograficzny, a w związku z tym ich przydatność naukowa".

Wydaje się, że uwagi te nie są pozbawione słuszności. Jeśli program ten dało by się zrealizować, wiedza o polskiej sztuce wkroczy na nowe tory i doprowadzi do stworzenia syntezy, która — jak słusznie podkreśla autor — stanowi w naukach humanistycznych koronę dzieła i najlepszy sprawdzian wyników pracy badawczej.

T. Jaraczewski

Kronika kulturalna Polonii Amerykańskiej

200-letnia rocznica urodzin Tadeusza Kościuszki obchodzona jest w Stanach Zjednoczonych przez społeczeństwo polskie i amerykańskie. Cała prasa amerykańska podała do wiadomości okolicznościowe oświadczenie Prezydenta Trumana złożone z powodu tej rocznicy. Gubernator stanu New York ogłosił dzień 17 lutego (najbliższa niedziela) jako „Dzień Kościuszki". Kongres Polonii Amerykańskiej wydał uroczystą odezwę do społeczeństwa polskiego. Dzienniki amerykańskie przypominają, że na ten sam dzień przypada również rocznica urodzin Abrahama Lincolna.

Powstanie nowych pism polskich. Ukazały się ostatnio dwa nowe czasopisma polskie: „Tygodnik Polski" i „Okno na świat". Pierwsze ukazuje się w Nowym Yorku i zasilane jest przez najlepsze polskie pióra naukowe i publicystyczne. „Okno na świat" redaguje młody dziennikarz Henryk W. Dziulikowski, wychowanek polskich organizacyj w Ameryce.

Zmarli działacze polscy. W Filadelfii zmarł dr. Karol Wachtl, pochodzący z Jarosławia, redaktor „Gwiazdy". Należał on do najstarszych dziennikarzy polskich w Ameryce. Redagował „Dziennik Chicagowski", „Naród Polski" i inne pisma. Ponadto wykładał język i literaturę polską w Northwestern Uniwersity Settlement oraz był autorem 2 tomów poezyj, „Jasełek Polskich", książki o szkolnictwie i wychowaniu. W ub. roku wydana została jego książka p. t. „Polonia w Ameryce". Zmarły był również przez pewien czas dyrektorem teatru polskiego w Chicago.

W Milwaukee zmarł w wieku lat 77 Kazimierz Gonski, pierwszy w swoim czasie Polak-adwokat w stanie Wisconsin.

Życie teatralne. W Nowym Yorku grana była w marcu opera Moniuszki „Verbum nobile". Wystąpił w niej znany baryton Alfred Orda, zdobywca I nagrody na międzynarodowym konkursie śpiewaczym w Wiedniu. W czasie wojny występował on jako jeden z nielicznych cudzoziemców w Royal Albert Hall w Londynie. Ostatnio dużym sukcesem cieszył się jego występ w „Polskiej rapsodii", granej w Detroit.

Znana przed wojną sztuka „Świt, dzień i noc" grana jest z dużym powodzeniem w teatrach polskich we wschodnich stanach. Inauguracyjne przedstawienie odbyło się w Barbizon Plaza w Nowym Yorku. W sztuce tej występuje Jadwiga Smosarska i Henryk Rozmarynowski.

W Nowym Yorku wystawiona została rewia p. t. „Wspomnienia z Polski" z udziałem znanej tancerki Wesołowskiej. W Detroit grano operetkę p. t. „Manuskrypt Szopena".

Na balu Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Yorku odbył się pokaz tańców polskich pod kierownictwem baletmistrza Bronisława Matusza. Obok zespołu polskiego wzięły udział w tym ciekawym występie zespoły taneczne innych narodowości. Obszerne opisy tego zarówno pod względem propagandowym jak i finansowym udałego balu zamieściły bardzo liczne dzienniki amerykańskie.

Polski film. W ośrodkach polskich na terenie zwłaszcza wschodnich stanów cieszą się dużą popularnością liczne filmy polskie przedwojenne, a także nakręcone już w czasie wojny w Ameryce. Są to np:. „Ułan i dziewczyna", „Dziewczęta z Warszawy", „Sygnały", „Krwawa róża", „Bohaterowie Sybiru", „Wrzos", „Kraj mojej matki", „Monte Cassino", „Niezwyciężeni idziemy", „Nie miała baba kłopotu...", Manewry miłosne", „Dwaj złodzieje", „Zapomniana melodia" i wiele innych.

PRZEGLĄD WYDAWNICZY

Religion in America (Religia w Ameryce), Willard L. SPERRY *(»Cambridge University Press« w zbiorowym wydawnictwie American Life and Institutions Series).*

Książka ta opuściła prasę drukarską kilka zaledwie tygodni temu. Nasuwa każdemu szereg refleksyj i stanowi bogaty materiał do rozważań. Autor, protestant, dziekan Divinity School w Harvard, okazał dużą znajomość tematu oraz zachował stanowisko obiektywne w stosunku do innych wyznań.

Ciekawy jest przede wszystkim materiał statystyczny, którym operuje autor. Przyjmując, że obecna ludność Stanów Zjednoczonych liczy 134 miliony, stwierdza on, iż z cyfry tej prawie połowa t. j. 67.300.000 osób pozostaje w łączności nominalnej z Kościołem. Na liczbę tę przypada 23.000.000 rzymsko-katolików, 4.000.000 żydów i 1.200.000 prawosławnych, resztę zaś stanowią protestanci, rozbici na 256 odrębnych sekt. Katolicyzm w Stanach doznał niebywałego wzrostu w ciągu XIX i XX stulecia. W roku 1800 było w Stanach zaledwie 1.000.000 katolików, w 1850 liczba ich wzrosła już do 1.600.000, a dziś równa się 23 milionom. Cyfry te potwierdza zresztą inne dzieło na temat katolicyzmu w Ameryce, a mianowicie „The story of American Catholicism" Teodora Maynard.

Co do uczęszczania do kościoła i wykonywania praktyk religijnych, cyfry również wskazują wzrost. W ostatnich latach, od roku 1930 do 1942 ludność Stanów wzrosła o 9,1 procent, podczas gdy przynależność do kościoła zwiększyła się o 12,9 procent.

W swej analizie poszczególnych religij w Ameryce autor wykazuje, że u podłoża protestantyzmu amerykańskiego leży przede wszystkim mentalność amerykańska. Swymi wywodami autor ułatwia nam zrozumienie dlaczego słowo „Kościół" znaczy dla większości protestantów w Ameryce nie „wspólnotę wiernych", ale po prostu ściśle określony budynek kościelny. W tym znaczeniu o kościele myśli się w Ameryce, jak o klubach sportowych, jak o czymś co zostało zaprojektowane i co jest opłacane przez lokalną grupę osób, która wybiera również wspólnie swego pastora. Znaczne rozbicie kościoła protestanckiego w Ameryce tłumaczy autor indywidualistycznymi cechami charakteru amerykańskiego.

Ze względu na odmienny rozwój historyczny, niż w Europie, w której wspólnota kościelna wyprzedziła historycznie wspólnotę państwa, Stany Zjednoczone, gdzie proces ten był odwrotny, są strukturalnie bardziej „świeckim" państwem, niż jakikolwiek kraj europejski. W Stanach państwo opanowało całkowicie wychowanie młodzieży, nadając mu formy świeckie, tak że publiczność amerykańska jest skłonna uważać, że granica między kościołem a państwem przebiegać winna raczej na niekorzyść kościoła. Stąd też częściej tu można słyszeć zarzut, że kościół w państwach europejskich miesza się do polityki. Na tego rodzaju traktowanie wpłynęły z jednej strony początki państwa w Stanach, zupełnie oddzielonego od Kościoła, a nadto fakt, iż do czasu wojen o niepodległość w Ameryce nie było tu oddzielnego episkopatu, lecz organizacja kościoła pozostawiona była samodzielnemu rozwojowi, który przybierał różne formy lokalne.

Autor nie ukrywa słabości protestantyzmu amerykańskiego. Obok dużego rozproszkowania na znaczną ilość sekt — jednym z braków tego kościoła jest coraz więcej zaznaczająca się rozbieżność i coraz większa przepaść między niewystarczającym przygotowaniem przyszłych pastorów, a innymi zawodami np. adwokatami lub lekarzami. Nie stara się również autor odeprzeć często powtarzanego zarzutu, iż poszczególne sekty protestanckie dążą jedynie do zapełnienia swych kościołów i posługują się w tym celu wszystkimi możliwymi środkami.

Nie można zgodzić się z autorem, gdy twierdzi on, iż katolicyzm w Ameryce żyje w oddaleniu od narodowej tradycji amerykańskiej. Zarzut ten wydaje się o tyle dziwny, iż w Europie sytuacja jest wprost przeciwna t. j. nikt tak jak kościół katolicki nie stara się zbliżyć do uczuć narodowych. Niechęć protestantyzmu amerykańskiego do katolików wywodzi autor historycznie z czasów, kiedy Francja i Hiszpania zagrażały młodym osadnikom angielskim w Ameryce. Głównym źródłem uczuć anty-katolickich w Ameryce

jest, jego zdaniem, podejrzenie iż Kościół katolicki mógłby być przeszkodą w rozpowszechnianiu w innych krajach amerykańskich instytucyj demokratycznych oraz amerykańskich zdobyczy.

Reasumując można powiedzieć, iż autor daje objektywny obraz całości zagadnienia, nie ukrywając błędów protestantyzmu amerykańskiego i przedstawiając w prawdziwym świetle charakter i trudności, z jakimi walczy w Ameryce kościół katolicki. Książka niewątpliwie jest cennym nabytkiem dla tych wszystkich, którzy interesują się sprawami religii. *T. S.*

ALEXANDER - CZESŁAW MEŁEŃ, *Le droit des gens et le système du droit polonais*, thèse présentée à la Faculté de droit de l'Université de Fribourg pour l'obtention du grade de docteur en droit, Imprimerie St-Paul, Fribourg 1945, str. 120.

W rozprawie swej opartej o bogaty materiał źródłowy rozpatruje autor zagadnienie stosunku prawa narodów do prawa wewnętrznego w ogólności, a prawa polskiego w szczególności. Jest to jeden z tych problemów, który wiąże się z samą strukturą prawa międzynarodowego i należy w nauce do najbardziej spornych. Z drugiej strony problem ten ma duże bardzo znaczenie dla przyszłości stosunków międzynarodowych, których rozwój zależy w równej mierze od samego prawa narodów, co i od sposobu, w jaki prawa wewnętrzne poszczególnych państw zapewniają poszanowanie norm prawa narodów wewnątrz swych granic.

Autor zdaje się poświęcać szczególną uwagę zagadnieniu: jakich środków winno używać państwo dla zapewniania wykonania swych zobowiązań międzynarodowych i respektowania norm prawa narodów przez swe władze i swych obywateli. Współczesne prawo międzynarodowe ogranicza się bowiem do wymagania od państw przestrzegania norm międzynarodowych, pozostawiając im wolną rękę w wyborze środków, przy pomocy których zapewniają one wewnątrz swych granic wykonanie zobowiązań wobec innych członków społeczności międzynarodowej. Analiza środków, jakie w tym celu przyjęte zostały przez system prawa polskiego, stanowi główny temat rozprawy, jakkolwiek autor nie ogranicza się do prawa polskiego tylko, ale rozpatruje również teorię i praktykę innych państw.

Dwa pierwsze rozdziały rozprawy poświęcone są problemowi stosunku prawa narodów do prawa wewnętrznego w literaturze prawniczej światowej i polskiej. Po zwięzłym przedstawieniu stosunku prawa międzynarodowego do prawa wewnętrznego według najważniejszych systemów prawnych, autor analizuje szczegółowo zagadnienie procedury zawierania traktatów międzynarodowych według systemu prawa polskiego. Rozdział V zatytułowany »Moc obowiązująca norm prawa narodów w Polsce« zajmuje największą część pracy. W oparciu o liczne cytaty orzecznictwa polskiego autor stwierdza, że normy prawne stworzone przez traktaty międzynarodowe mają wewnętrzną moc obowiązującą w Polsce i w konsekwencji są stosowane przez sądy polskie do stosunków prawnych wewnętrznych i to zarówno publiczno-prawnych jak i prywatno-prawnych. W rozdziale ostatnim autor rozwija w sposób interesujący problem podstawy mocy obowiązującej norm prawa narodów w wewnętrznych stosunkach prawnych w Polsce. Większość autorów polskich jest zdania, że normy międzynarodowe obowiązują w Polsce na podstawie »transformatora«, który nadaje im moc obowiązującą prawa wewnętrznego polskiego. Jednakże prawie każdy z tych autorów widzi ten transformator w innym czynniku, np. w akcie ratyfikacji, w publikacji traktatu w Dzienniku Ustaw i t. p. Zdaniem autora nie istnieje w systemie prawa polskiego żaden czynnik, który mógłby odgrywać rolę podobnego »transformatora«. Koncepcja »transformatora« nie znajduje żadnego potwierdzenia w praktyce polskiej i w konsekwencji »normy prawa narodów obowiązują w Polsce nie na podstawie transformacji ich na normy prawa polskiego, ale na podstawie swej własnej mocy obowiązującej«.

Obowiązują one bezpośrednio, »ex proprio vigore«, i w zastosowaniu wewnętrznym zachowują swój własny charakter norm międzynarodowych. Tak więc normy prawa obowiązującego w Polsce, prócz źródeł prawa wewnętrznego jak np. ustawa, mają również specyficzne źródła jak: umowy międzynarodowe, zwyczaj międzynarodowy, decyzje organizacyj międzynarodowych.

W wielu swoich koncepcjach, jak też w samej konstrukcji pracy (np. system cytowania) jest autor pod wpływem doktryny polskiej szkoły prawa międzynarodowego, zwanej szkołą »lwowską« i kierowanej przed wojną przez jednego z najwybitniejszych polskich specjalistów prawa narodów prof. Ludwika Ehrlicha. Podnieść należało by jeszcze na zakończenie, że bibliografia cytowana na końcu tezy jest niezwykle wyczerpująca i obejmuje prawie wszystkich współczesnych autorów z dziedziny prawa narodów. *Dr T. St.*

ADAM CIOŁKOSZ, *Trzy wspomnienia.* Kazimierz Czapiński, Zygmunt Piotrowski, Mieczysław Niedziałkowski. Nakładem Komitetu Zagranicznego Pol. Partii Soc. 1945, Londyn, str. 4 nlb. + 52.

Autor omawia w niej działalność zmarłego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu K. Czapińskiego, zaginionego w Rosji Z. Piotrowskiego, oraz zamordowanego przez Gestapo w Warszawie M. Niedziałkowskiego. »Wspomnienia« ujmują w najistotniejszych rysach wizerunek duchowy tych trzech wybitnych patriotów polskich i działaczy Pol. Partii Soc., którzy w całokształtcie stosunków polskich odegrali byli wybitną rolę organizacyjną i ideową. Działalność Czapińskiego w Polsce niepodległej związana była z Tow. Uniwersytetu Rob. (T. U. R). Sekretariat generalny tej organizacji prowadził przez dłuższy czas Piotrowski, redaktor »Kolejarza Związkowca« i członek sejmowej komisji oświatowej. Piotrowski z Ciołkoszem brali udział w międzynarodowych zjazdach oświaty robotniczej. Szeroki ogół społeczeństwa polskiego znał Niedziałkowskiego z »Robotnika«. Ponadto zaś był on autorem wielu publikacyj naukowych. Zagranicy dał się również poznać jako uczestnik międzynarodowych zjazdów robotniczych. Polsce poświęcił całe swoje życie. Już jako 16-letni uczeń rosyjskiego gimnazjum należał Niedziałkowski do założycieli Związku Młodzieży Postępowo-Niepodległościowej. W 1919 roku zasiadał u stołu prezydialnego Sejmu Ustawodawczego w roli sekretarza. Był wówczas najmłodszym członkiem Izby. Odtąd bierze on wybitny udział w pracach sejmowych, zabierając ważki głos w najrozmaitszych sprawach naszego życia państwowego jako jeden z naszych najlepszych parlamentarzystów i mężów stanu.

E. L-s

368

POLOGNE 1919-1939

Adres Redakcji: Fribourg, Case postale 247, Suisse, Tél. 21892 — Konto czekowe IIa 3219. V. Troller — HORYZONTY, Fribourg.

Wpłaty zagraniczne: przez bank w miejscu zamieszkania z poleceniem przesłania dla: Schweizerische Volksbank, Solothurn, Schweiz.

Editeur: Vérène Troller. *Redaktor:* Eugeniusz Lukas. *Administracja:* Marian Respond.

 Drukarnia Vogt-Schild S. A., Soleure, Suisse.
Klisze w wykonaniu Zakładów Graficznych Pfisterer S. A. Balderstrasse 30, Bern, Suisse.

Prenumerata w Szwajcarii: rocznie 12 Frs., półrocznie 7 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.20 Frs.
Prenumerata za granicą: rocznie 15 Frs., półrocznie 9 Frs. Cena pojedyn. numeru: 1.50 Frs.

Cena: Prix: **1.20 Frs.**

Za granicą: A l'étranger: **1.50 Frs.**